

Sobota 14. XI.
godz. 17
Osiedle
-Bysirzycka
IV DS

Spotkanie „ODGŁOSY“-AKADEMICY

w programie:
WIESŁAWA GÓRECKIEGO impresje z trzech kontynentów (przeważnie o kobietach i marynarzach)

organizują „ODGŁOSY“ i Ró ZSP

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II. ŁÓDŹ, dn. 15 listopada 1959 r.

Cena
1 zł

Nr 46
(90)

BOGUSŁAW HOLUB

JEDENASTU GRZEGORZY



Wyjaśniam z miejsca, że Grzegorz w tym wypadku nie oznacza imienia. Jest to nazwa licznego i przedsiębiorczego rodu z gromady Żytowice. W moim notesie ród ten reprezentują—Grzegorz: Czesław, Jan, Franciszek, Ignacy, Jerzy, Michał, Zygmunt, Benedykt, Danuta, Halina i Kazimierz.

Jedenaście imion, jedenaście osób.

Imię Kazimierza wymieniłem na końcu, chociaż jest on postacią centralną rodu Grzegorzów.

Pana Kazimierza spotkałem nie na targu, lecz w gmachu Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Łąsku. Rozmawiał z pracownikiem Rady. Z jego sposobu bycia wywnioskowałem, że czuje się w Radzie nie gorzej niż na targowisku. Nie dziwił się zresztą. Urzędnicy Rady (jak większość urzędników) mają uzasadniony szacunek do każdego, kto przyjedzie do nich samochodem. A pan Kazimierz posiada własne auto marki „Chevrolet”. I trzeba przyznać, że jego wóz wygląda przyzwoiciej od wielu służbowych aut urzędników państwowych. Zdarza się, że Kazimierz Grzegorz zjawia się przed gmachem Prezydium „Jawa” lub motocyklem marki „WSK”. Niektórzy mu zazdroszczą. Większość jednak podziwia. Bądź co bądź jest za co. Pokażcie mi drugiego takiego gospodarza,

(Dokończenie na str. 5)

Barbara Horawianka i Michał Pawlicki w scenie ze sztuki — „Nie igra się z miłością” — Alfreda Musseta PATRZ str. 8
Foto. G. Puciato



ANDRZEJ MAZUR

Schizofrenia w retorce

Bez anegdoty

Kontakt-suplement do rewolucji

Świat odczarowany

„Kochanówka“

bez egzotyki
ale z przestroga

Nasz reporter spędził 24 godziny w szpitalu dla psychicznie chorych w „Kochanówce”. Oto jego wrażenia;

W drodze do szpitala na Aleksandrowskiej przypomniały mi się obiegowe anegdotki. Wprawdzie jechałem na reportaż, jako redakcyjny „spec od wariatów” i co nieco, amatorsko, tej psychiatrii liźnąłem — to jednak trema przed konfrontacją z życiem brała górę. Na przykład starannie obmyślałem, jak zareaguję, gdy ktoś zacznie klarać, że jest kanarkiem. Albo gdy zaproponują mi wyskoczenie z czwartego piętra.

Znacie to, prawda? Otóż nic z tych rzeczy.

* * *

My bowiem, dumnie, choć nie zawsze zasadnie noszący miano „ludzi normalnych” nie wiemy, że w psychiatrii pięć lat temu nastąpiła rewolucja (a dobrze to wiedzieć, bo na wszelki wypadek może się przydać — ale o tym potem).

Rewolucja nazywa się LARGAKTIL.

— Niech pan nie pisze jakie dawki largaktilu stosujemy, bo nasi koledzy internści zląją się za głowę.

Nie piszę. Zapomniałem. Takie wysokie. Ale w ogóle to piszę, bo ktoś kiedyś może dostać largaktil od internisty i klops gotowy. Na zasadzie skojarzenia.

A więc largaktil spowodował rewolucję w lecznictwie psychiatrycznym.

To było dawno. W 1954 roku. Rewolucja zawsze przelamuje jaźń impas. Wyzwała pochod nowego. Dziś psychiatria ma już kilkanaście innych konkurujących z largaktilem preparatów, na ogół farmakologicznych, to znaczy z aptecznego arsenału.

— Wiele już więc zapewne — opinio communis doctoris — co to jest schizofrenia?

Mała konsternacja. Okazuje się, że jeszcze nie są zupełnie pewni. Ale strzelają blisko!

Wobec tego ja, dyletant z zawodu, korzystając z wazszej mądrości i wiedzy, a dziennikarskiego azylu, zaryzykuję. Dla pokrzepienia dusz ludzkich, których coraz liczniejsze tysiące rok w rok przechodzą przez zaczarowany i przerażający świat oblakania.

Otóż organizm nasz, w bliżej nie poznanych okolicznościach, staje się producentem niezwykle silnego jadu, którym się sam za-

LESZEK GOLIŃSKI

Nasi biją W tarabany

Łódź kulturalna stała się dla wielu działaczy społecznych wyrzutem sumienia. Na naradach i konferencjach ją właśnie przytacza się, jako tzw. negatywny przykład. Czasami można odnieść wrażenie, że wiele dyskusji straciłoby na ostrości, na zaciętości, gdyby obraz Łodzi kulturalnej uległ zmianie. Gdyby zaczęto go nagle malować różowymi barwami.



A na scenie dzieją się rzeczy, godne uwagi najbardziej wytrawnych krytyków teatralnych

Cóż by wobec tego pozostało działaczom? Co krytykom?

Nie chcemy używać w tym artykule pryncypialnych sądów ani w'erzyć ślepo statystykom. Już nieraz źle wychodziłśmy na takiej

w'erze i na takich pryncypialach. Wydaje się jednak, że jest rzeczą niezbyt normalną, gdy w kraju wielkiej rewolucji kulturalnej istnieje ogromne, 700-tysięczne miasto, w dodatku miasto robot-

nice, które pod względem kulturalnym przedstawia białą plamę. Ze jest już paradoks w samym stwierdzeniu, iż Łódź stała się nie

(Dalszy ciąg na str. 2)

Dalszy ciąg
na str.

6

Nasi bija w

tarabany

Dalszy ciąg
ze str. 1

tylko polskim Manchesterem, ale i polskim Hollywood. Cóż z tego bowiem, że w mieście istnieje wielka wytwórnia filmowa, że działa w nim kilka wyższych uczelni, że powstała spora warstwa inteligencji, przede wszystkim technicznej, skoro cały ten ruch umysłowy, laury teatru Dejmka, szkoła socjologów, aktorzy filmowi — wszystko to stanowią tylko cienką, zewnętrzną powłokę, pod którą kryją się tereny niemal zupełnie nieznanne, setki tysięcy ludzi, skazanych na przepelnione kina, „karuzele” i w najlepszym wypadku cyrk.

Robotnicy stanowią przeszło 53 proc. ogółu dorosłej ludności miasta. Przeszło 50 proc. robotników nie ukończyło podstawowego wykształcenia.

Od piętnastu lat nie otrzymała Łódź ani jednego większego obiektu kulturalnego.

— 44 proc. ludności, zatrudnionej w przemyśle łódzkim — to ludzie przybyli stosunkowo niedawno ze wsi. Codziennie do łódzkich zakładów pracy przyjeżdża około 20 tys. robotników ze wsi.

— Zaledwie co dziesiąty robotnik korzysta z biblioteki. Na trzech robotników — tylko jeden kupuje raz w roku książkę.

— 13 proc. robotników nie czyta w ogóle gazet.

— W kinach łódzkich łącznie mieszka na tysiąc mieszkańców — odwrotnie niż we wszystkich innych miastach — z roku na rok spada i ukształtowała się poniżej ogólnokrajowego wskaźnika dla wsi.

To tylko kilka przypadków dobranych przykładów. Wystarczy?

Ba, gdybyśmy opierali się tylko na nich — mógłby powstać obraz zbyt jednostronny, zbyt czarny. Nie widzimy jednak potrzeby powtarzać jeszcze raz wszystkie osiągnięcia rewolucji kulturalnej. Nie to jest bowiem celem tego artykułu.

Celem jego jest wykazanie dualizmu, podwójnego nurtu naszej kultury, zjawiska powszechnego zresztą dzisiaj w całej Polsce, szczególnie jasnego natomiast w Łodzi. Zjawiska tym niebezpieczniejszego, że dwa owe nurty oddalają się od siebie, rozwierają się jak nożyce.

Jednym z gospodarzy kultury łódzkiej jest Wydział Kultury Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi.

Dysponuje on rocznym budżetem na kulturę w wysokości 202 milionów złotych. Już sam rozdział tej sumy budzi różne refleksje. Ogromna większość z owych 202 milionów złotych prze-



Mimo wszystko trudno uwierzyć w masowość dejmkowego teatru...

reprezentacyjnego teatru? Czy miejscem większych zebrań odbiorców wydarzeń kulturalnych ma być tylko Hala Sportowa? Każda reprezentacja jest celowa i na miejscu, gdy się ją utrzyma w rozsądnych granicach. Zresztą wymienione obiekty od kilku lat są już w trakcie zaawansowanych prac i nie tu miejsce na dyskusję nad ich celowością.

Istnieje jednak znacznie bogatsze źródło dochodów. Myślę o funduszach, stojących w dyspozycji związków zawodowych.

W roku ub. budżet wojewódzkiej komisji związków zawodowych na prace w dziedzinie upowszechniania wyniósł ponad 12 milionów złotych, w tym roku jest nieco niższy, gdyż wynosi ponad 11 milionów. Już samo zestawienie z budżetem rad narodowych wykazuje, gdzie znajduje się prawdziwy mecenas kultury łódzkiej. Ale i tutaj rozdział budżetu musi budzić usprawiedliwiony niepokój.

Na bilety do kin i teatrów przeznaczono z tego budżetu 50 proc. Ale okazuje się, że ogromna większość biletów, szczególnie teatralnych, rozprowadzana jest wśród administracji fabryk i wśród inteligencji technicznej. W ręce robotników trafia około 20 proc. biletów. Moją nieufność do wszelkich statystyk pogłębia fakt, że dyrekcje niektórych teatrów i muzeów zgłaszają zupełnie „lipne”, wysane z palca dane, ilu robotników „zasiliło” ich kasy. Teatr Powszechny nie wiadomo skąd wyliczył, że w ciągu roku na jego widowni znalazło się równo 55,3 proc. robotników. Czy robotnicy ci może wypełniali jakieś ankiety? Czy legitymowano ich przy wejściu? Czy zastosowano genialną fotokomórkę, mającą „wyczuć klasowe”? Nie, mamy tu do czynienia z najczystsza lipą. Tak samo, jak z tym szlachetnym drzewem mamy do czynienia, dowiadując się, że w roku ubiegłym Muzeum Sztuki w Łodzi zwiędziało 834 robotników indywidualnie a 924 zespo-

— to za mało. Grubo za mało.

Jakże jednak domagać się rozwoju ruchu kulturalnego wśród robotników Łodzi, gdy cztery z siedmiu rad dzielnicowych nie mają w ogóle referentów kulturalnych? Jak domagać się rozwoju życia kulturalnego wśród łódzkich włókniarzy, gdy dopiero w tym roku zafundowali sobie oni etap dla takiego pracownika? Ma taki lekcje wyciągać z tego faktu wysnuć wniosek, że należy bez zmian rekonstruować stare kluby i świetlice. „Czerwone kaczki”, bibułkowe pajaki i anemiczne zespoły teatralne chyba przeżyły swój zmierzch. I nikt nie będzie się dzisiaj gorszył, gdy usłyszy z klubu dzwinki jazzu i gdy zobaczy, że tańczą tam — fi donci! — rock and rolla. Kiedy nie można pogadanką o kolektywizacji i piosenkami masowymi — dobrze jest ściągnąć młodych do klubu chociażby jazzem. Ale aby był jazz — musi być klub. Muszą być pieniądze. Tych kilkaset tysięcy, przypadających na działalność klubowa

Nasza szkołka

W ciągu ostatnich czterech lat dokonała się u nas pewna rewolucja gustów. Przede wszystkim — wizualnych. Wbrew temu, co przeważnie się twierdzi, ogół mieszkańców miast jakoś zasymilował nowoczesne formy sztuki użytkowej (meble, przedmioty ozdobne, tkaniny itd.) i architektury.

Dla udokumentowania tego nie jest miarodajny wygląd np. większości wnetrz mieszkalnych w Polsce. Jest natomiast miarodajny wygląd wnetrz mieszkań w nowych domach. Proszę zadać sobie trud zerknięcia wieczorem na fasadę byle jakiego nowego domu i obliczenia, w ilu oknach są tradycyjne firanki z muslinu, a w ilu barwne kretony o nowoczesnych wzorach.

Nie polega to na tym, iżby przeciętnemu obywatelowi przestała się podobać macka z jeleniem na rykowisku. Ale przy pomocy filmu i prasy został on poinformowany, że takowa uznana została przez znawców i modę za brzydką i anachroniczną. To wystarczy. To wystarczy, aby za jakiś tam czas zniknęła raz na zawsze z powierzchni ziemi, i nie tu nie ma do rzeczy to, że ona się jeszcze podoba.

Scenka w barze przy ul. Piotrkowskiej. Do bufetowej przychodzi znajomy. Idzie na imieniny wspólnej znajomej. Przyszedł pokazać prezent. Jest to duży plastik przedmiot. Odwinęty zostaje papier. Obraz. Twarz bufetowej nie wyraża zachwytu. — Van Gogh — informuje gość — słyszałaś o takim? — Bu fetowa słyszała. — Kolorowo — ocenia. — No wiesz, także teraz modne — tłumaczy się przybysz.

Wydała mi się, że kwestia, iż coś jest modne i zalecane przesadza sprawę. Nie tylko dla pani bufetowej. W ogóle.

Coraz częściej kupować się będzie rzeczy modne, to znaczy „nowoczesne” i nowoczesne. Bo takie panują socjologiczne prawa. Długo jeszcze te nowoczesności będą się podobały mniej niż ozdoby tradycyjne. Ale gdy zapanują ilościowo — o k tak szybko do nich się przyzwyczai, że niepostrzeżenie za modą pójdą i gusta.

Zważmy, jak bardzo zasymilował się już jazz. Muzyka zupełnie do niedawna nie odbierana przez nikogo, wyjąwszy młodzież. Dziś nie spotyka się już ludzi, którzy by rytmy jazzowe nie wytrzymywali jako amelodyjne i denerwującej kaskofonii. Nie chodzą oni może na „jam sessions”, ale bez opo-

REWOLUCJA GUSTÓW?

ru słuchają jazzu przez radio.

Potwierdzeniem powyższych mniemań jest ich pozorne zaprzeczenie: wszechogarniające panowanie tradycyjnych gustów w dziedzinie literatury i teatru. Może gra tu rolę sama istota tych rodzajów sztuki, operujących w bardziej intymnych rejonach odczuć niż sztuka czysto wizualna czy słuchowa, co powoduje mniejszą zmienność upodobań. Ale panowanie lektur Kraszewskiego, Dumasa, Orzeszkowej, Sienkiewicza i Zeromskiego, repertuaru romantycznego i naturalistycznego na scenach — wynika stąd przede wszystkim, że nie nastąpiła ofensywa literatury i dramaturgii nowoczesniejszej. Ofensywa dzieł i ofensywa reklamy je propagującej.

Nowoczesność legitymującą się przecie niemalym szeregiem nazwisk powieściopisarzy i dramaturgów — nie przynosi pozycji B-klasowych, tych, które zawsze opanowywały rynek czytelnicy. Nie można szturmować rynku Kafką, Gombrowiczem, antypowieścią Butora czy np. sartrowskim „Przy drzwiach zamkniętych”. Te gatunki muszą być przetłumaczone na język produkcji komercyjnej pisanej pod tematyczne guściki szerokiego odbiorcy, tyle że wyrażone przy pomocy nowego formalnie warsztatu. Mam tu na myśli literaturę rzędu Dürrenmatta.

Generalnie uważam, że o ile zdolność do konsumowania wartości kulturalnych w ogóle współzależna jest od procesów rozwoju cywilizacyjnego, o tyle rodzaj, gatunek tego, co podawane jest do konsumpcji, ośrodki produkujące dobra kulturalne mogą formować dowolnie. Aby nie w zupełnym oderwaniu od panujących gustów tematycznych i ducha czasu.

Sztuka polega na tym tylko aby to robić umiejętnie. Zważmy, że „Przekrój” może w tej chwili sprzedawać czytelnikowi wszystko co chce, namówić go do spania w wamie, wyrzucenia mebli, noszenia kasków na głowach i inekspymabli zamiast spodni.

Prymitywnych tych rozważań nie prowadziliśmy wszakże po to, by poinformować jako tako czytelnika o mojej teorii dystrybucji dóbr kulturalnych. Ale po to,

by uzmysłowić mu jak wielką i niepotrzebną szkodę wyrządza społeczeństwu produkcja przedmiotów nowoczesnych w formie, a szmirowatych w treści.

Nasz rynek zawałony jest monstrualnymi meblami o nowoczesnych liniach, takąż ceramiką godzącą stare mieszczańskie smaczki z nowoczesną linią i kolorem. Tkaniny, obuwiu, ozdoby, przedmioty gospodarskie, wszystko to nosi piętno nowoczesnej szmiry. A cóż tu mówić o urządzeniach wnetrz lokali publicznych, malowidłach w knajpach i na dworcach itp. (Zadrzyjcie głowę w hallu kina Polonia, a ujrzycie przykład klasycyzmu).

Nie piszę tu „szmiry pseudonowoczesnej”, bo jest to szmira autentycznie nowoczesna. Tylko nieuczni maniaci o apostołskim zacięciu uważają nowoczesność za synonim wyższej jakości.

Ofensywa nowoczesności mogła spełnić rolę czynnika rewolucjonizującego jakościowo gusta t. zw. szerokich mas. Zmienia ona upodobania (tj. odmienia formę, nie dokonując rewolucji treściowej. Tradycyjną mackatkę z jeleniem na rykowisku zastępuje nowoczesna mackatka z nowoczesnym, umownym jeleniem na rykowisku.

Tak stało się niby nie tylko w Polsce, lecz na całym świecie. Ale nasz system centralizmu i kontroli mógł zapewnić monopol fachowców przeciwstawiając się wypuszczeniu na rynek szmiry i półszmiry.

Zważmy, że uniemożliwienie produkowania szmiry nowoczesnej — u nas oznaczałoby jej nieistnienie. Ludzie mogliby w niej smakować nie znając jej.

Tę szansę diabli wzięli. Tradycyjną drobnomieszczańską makabrę wypiera sobie spokojnie nowoczesna drobnomieszczańska makabra którą masowo produkują nowi apostołowie nowoczesności: przemysł kluczowy, terenowy i rzemieślniczy, prywatni fabrykanci wyrobów z metalu i plastiku a także CPLiA.

Zmarnowaliśmy szansę przekształcenia rewolucji form w rewolucję istoty rzeczy. Tego w pełni się nie odrobi. Wypada teraz poczekać na nową nowoczesność.

BELFER

Któż w Łodzi nie słyszał o „Ślepych Maksie” — królu podziemnego świata przestępczego. „Postrach bogaczy”, „przyjaciel uczciwych”, „Rinaldo-Rinaldini”, „Jancsik”, „Arsen Lupin” — oto literackie odpowiedniki rzeczywistej postaci.

O niecodziennych przygodach „Ślepego Maksa”, o jego desperackiej odwadze pisały w swoim czasie gazety całego świata.

W 1946 roku Joe Hartman — dyrektor wielkiego amerykańskiego koncertu w San Francisco przysłał mu wzięte pieniądze i zaproszenie do USA. Identyfikację ożyczyli mu przedstawiciele hollywoodzkiej wytwórni filmowej, którzy pragnęli nakręcić o nim sensacyjny film kryminalny. „Ślepy Maks” pieniądze chętnie przyjął, natomiast wzięcie z podziękowaniem odesłał.

W liście do dyrektora J. Hartmana pomylił: „Jestem już zbyt stary, ażeby wyjechać się w tak daleką podróż. Polska jest moją ojczyzną i tutaj pragnę pozostać do ostatnich chwil mojego życia”.

Na początku znałem tylko jego pseudonim. O nazwisku i miejscu zamieszkania nikt nie potrafił dać dokładnej informacji. Później dowiedziałem się, że przed wojną mieszkał na Sienkiewicza pod dziewiątym. Z Sienkiewicza polecono mi udać się na Żeligowskiego do Wytwórni Kap.

Wśród wysokich, świeżych bloków, znalazłem małą, jednopiętrową kamieniczkę z przyklejoną do prawego boku ruderą. Wąskie, zamknięte podwórko, korbowa pompa, cherlawe drzewa zastaniają małe okienka. Przy drewnianym płocie zgięta staruszka o złodziejskich oczach, brudne dziecko na progu i matowe szyby przecięte siatką żelaznych prętów — oto po krótko obraz tego skrawka, gdzie rzekomo miał mieć swoje królestwo słynny niegdyś „Ślepy Maks”. Okazało się jednak, że mieszczą się tu tylko krosna, a sam właściciel mieszka na Gdańskiej pod... stop, tajemnicza.

Młodzi tkaczy dowiedziawszy się o co mi idzie, chętnie zaczęli mówić o zwyczajach starego przynypała i jego młodej żony.

Wieczorem tego samego dnia stanąłem przed żelaznymi drzwiami z wywieszoną: M. Bornstein. Dwa ostre, krótkie dzwonki i głos zza drzwi: „Kto tam?”

— Prasa!

Po drugiej stronie kilka tajemniczych manipulacji z zamkiem i jestem w środku. Dwa małe, przytulne pokoiki, radio, telewizor, fortepian, klubowy fotel i oto jestem w „jaskini lwa”.

— Czy to pan przed godziną był na Żeligowskiego? — pyta gościnny gospodarz.

Sprawną informacją — pomyślałem sobie w duchu — szukając wzrokiem jej źródła. Znalazłem... Telefon stał za radiem.

Gospodarz bardzo sympatyczny starszy pan, kręcone włosy lekko przyprószone siwizną, semicki wypukły nos, spojrzenie wodnistych oczu dość rozmiękłe, choć od czasu do czasu błysną przelotnie ostrym, kłującym spojrzeniem.

A więc tak wygląda postrach pensjonarek z dobrych przedwojennych domów, władca podziemia, król złodziejskiego klanu, sprawca krwawych wyroków „dintojry”, właściciel prywatnego biura podani i prób zatrudniający dwie osobiste sekretarki?

W gruncie rzeczy bardzo trudno się z owym panem porozumieć, gdyż mówi mieszczaną czterech języków: polsko-rusko-żydowsko-niemieckim.

„Ślepy Maks” urodził się sześćdziesiąt dziewięć lat temu, w rodzinie mleczarza na Bałutach. Było ich pięciu braci, jeden został profes-

rem filozofii i mieszka w Ameryce, drugi przebywa w Anglii i jest profesorem muzyki, dwaj pozostali nie żyją. Żonę i córeczkę Bornstein Niemcy spalił w Oświęcimiu. Gdy Maks się o tym dowiedział rozpoczął na swój sposób krwawą zemstę, w wyniku której zginęło z jego rąk osiemu niemieckich oficerów. Była to specyficzna „dintojra”.

„Ślepy Maks” w dość uproszczony sposób interpretuje pojęcie sprawiedliwości, twierdząc, że sprawiedliwym jest ten, kto ma rację.

siłim przeglądam dwie grube księgi pamiętników, w których zawarte jest całe awanturnicze życie tego starszego już dziś człowieka. Patrząc na jego pogodną, dobrotliwą, powściągliwą — rentierską twarz trudno jest uwierzyć w te wszystkie dziwne i niesamowite przygody. A jednak... Leżą przede mną wycinki z prasy, dokumenty, opinie, zaświadczenia, protokoły, pokwitowania, dyplomy, podziękowania itd. itp.

— Ciekawe, ciekawe to wszystko — konstatuje w duchu. Chciałoby się to

ki operowej. Poza tym gra również na fortepianie i śpiewa pieśni religijne. Obok tych umiejętności jest również wielkim znawcą drogocennych kamieni.

Przeglądając dokumenty, zauważyłem wśród nich wiele podziękowań od osób i instytucji, którym „Ślepy Maks” przekazywał pewne ofiary na cele społeczne. I tak na ręce Ministra Skarbu Konstantego Dąbrowskiego złożył 43 złote pięćsetrublowki (6. VIII. 1948), Wojewódzki Komitet Żydowski — 10.000 złotych (1947).

Zapytany przeze mnie skąd brał się jego autorytet odpowiedział mi po prostu: z siły, odwagi i pogardy dla śmierci. Po chwili dodał: siła rodzi siłę.

Na przykład we wrześniu 1939 r. znalazł się pewnego dnia na szosie Łódź—Brzeziny. Mieszkańcy miast i wiosek w pośpiechu opuszczali swoje mieszkania i salwowali się ucieczką na wschód. Zatłoczone drogi stawały się dla niemieckich myśliwców miejscem polowań na ludzi.

Obok zdążających w szybkim tempie uciekinierów

cer okazał się niemieckim dywersantem, a człowiekiem o kocich ruchach „Ślepy Maks”.

W czasie okupacji za głowę „Ślepego Maksa” Niemcy dawali 100 tysięcy marek. Rodzinę jego aresztowali i po terminie 15 dni wszyscy zostali rozstrzelani.

Tymczasem „Ślepy Maks” ukrywał się wśród warszawskich przyjaćli. Pewnego razu na ulicy rozpoznał go były nadkomisarz granatowej policji Stanisław Weyer i zaprowadził do niemieckiej żandarmerii. Tam Weyer zjechał nad nim, a następnie o 12 w nocy oddaje go na przesłuchanie dwóm oficerom Gestapo. Gestapowcy proponują mu współpracę i jako pierwsze zadanie wyznaczają — zadunecjować bogatych Żydów.

„Ślepy Maks” odpowiada na to: „Ja wiem, kto ma domy, ale w kieszenie to ja nikomu nie zaglądam i nie wiem kto ma złoto lub brylanty”.

Niemiec zamierza się pejęcem, Maks robi wspaniały unik i potężny prawy sierpowy ładuje na szczęście gestapowca. Drugi sięga po rewolwer i w poł ruchu zostaje ujęty za gardło. Fachowo i sprawnie obaj zostają szybko wykończeni. Maks wkłada płaszcz czapkę oficerską, dwa pistolety chowa do kieszeni, zamyka drzwi na klucz i przez wartownię opuszcza budynek żandarmerii.

Po wielu przygodach dociera do Bugu, gdzie wraz z ośmioma towarzyszami pragnie przedostać się przez zieloną granicę. Przewodnik, który miał ich przeprowadzić zdradza i schwytywa przez Niemców pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Związku Radzieckiego mają zostać rano rozstrzelani.

W chwili gdy przeprowadzają aresztowanych do stajni, jeden z oficerów rozpoznaje „Ślepego Maksa” i osadzają go osobno w piwnicy. Nocą przy pomocy sprężynowego noża Maks robi podkop, wydostaje się na wolność, zabija wartownika, uwalnia towarzyszy i wspólnie przedostają się do ZSRR.

Wiadomości czytam z wycinków prasowych, które obaj ze „Ślepych Maks” przeglądamy. Czytam na głos, gdyż bohaterowi mojemu sztuka czytania jest zupełnie obca. Może gdyby w młodości posiadał tę sztukę inaczej potoczyłyby się koleje jego życia?

KAROL BADZIAK

Z WIZYTĄ U „ŚLEPEGO MAKSA”



Niewątpliwie jest to postać fascynująca swą niecodzienną biografią i w jakimś stopniu jest on rezultatem określonych warunków społecznych. Mieszka się w nim altruizm ze ślepiem okrucieństwem, krwiożerczość z filantropią, pogarda dla życia i mocne jego umiłowanie. W sumie natura prymitywna, a jednak wielobarwna i nieprzeciętna. Pełna nawzajem wykluczających się sprzeczności. Silny, odważny, despotyczny, nieskomplikowany, a jednak przebiegły — stanowił żywe wcielenie lumpen-proletariackiego wodza. Z drugiej strony wrażliwy na każdy przejaw ludzkiej krzywdy uważał siebie za predestynowanego do wymierzania kary krzywdzicielom. Tak było kiedy zorganizował napad na karetkę pocztową, lub gdy na rogu Wschodniej i Pomorskiej wpakował dziewięć kul w brzuch prowokatorowi Balbermanowi.

Siedzę przy stole i cykając od czasu do czasu haim-

wszystko opisać i przekazać Czytelnikowi. Niestety, przyjaźni zawarta ze „Ślepych Maks” na razie zobowiązuje do powstrzymania się od pewnych enuncjacji. A zresztą, żyją jeszcze kompani... kto wie?, kto wie?..

Sądzę, że jeśli uda mi się wydstać pamiętniki „Ślepego Maksa” staną się one największym bestsellerem kryminalnym sezonu. „Ślepy Maks” jest nieufny, ostrożny a dla dziennikarzy niezbyt przychylny. Już wielu z moich kolegów po wierszówce starało się dotrzeć do niego, lecz zostali odprawieni z kwitkiem. Wierzę jednak w swój przysłowiowy łut szczęścia.

A tymczasem siedzimy na przeciwko siebie, popijamy mocną kawę i słucham arii z opery „Carmen” w wykonaniu... „Ślepego Maksa”. Oczywiście „Ślepy Maks” gra na harmonijce ustnej i nie tylko „Carmen” ale i „Rigoletto” i „Cyrulika”. „Aidę” i wiele innych, gdyż jest namiętnym wielobiciem muzy-

Lista jest zresztą dosyć długa. Nie będziemy jej tu przytaczać.

Ponadto posiada podziękowania od osób chorych, którym finansował koszty leczenia szpitalnego lub sanatoryjnego.

Taki to jest ten „Ślepy Maks”. Niejeden łodzianin pamięta jeszcze że jeśli komuś przed wojną skradziono drogocenny przedmiot udawał się do „Ślepego Maksa”, uiszczał pewną opłatę i skradzioną rzecz po dwóch dniach wracała do właściciela. „Ślepy Maks” był niekoronowanym królem łódzkich złodziei, wyznaczał rejon, ratował w chwilach wpadki, opłacał adwokatów w czasie rozprawy, pomagał w więzieniu, karał wyłamujących się spod jego twardej ręki. Szczególnie znany był ze skrupulatnego przestrzegania wszelkich niepisanych praw złodziejskiego klanu i w związku z tym nazywano go również „Królem Dintojry”.

szybko przejechał brzegiem szosy rowerzysta w polskim mundurze oficera i z zimną krwią i sadystyczną satysfakcją oddał serię strzałów w sam środek tłumy. Tłum zafalował i wszyscy w wielkiej panice zaczęli szukać schronienia w pobliskim lesie. Wówczas od masy ludzi oderwał się krepły człowiek i kocimi ruchami podbiegł do rowerzysty, gwałtownym kopniem wytrącił mu z lewej ręki pistolet a prawą z odbezpieczonym granatem wykreślił do tyłu i chwycił w porzuconym karabinem jednym silnym uderzeniem kolby powalił go na ziemię, zabijając na miejscu. Na ten moment nadjechali polscy oficerowie. — Jak śmiałeś zabić oficera? — krzyczy jeden z nich. Pochylają się nad trupem i pod mundurem znajdują bluzę i blaszkę rozpoznawczą z nazwiskiem: „Fritz Schmidt — oberleutnant — Breslau”. Zabity ofi-



Zdjęcia. Z. Walter

Ślepy Maks zgodził się udostępnić naszej redakcji swoje pamiętniki obrazujące życie podziemnego świata kapitalistycznej Łodzi

W NAJBLIŻSZYM CZASIE ROZPOCZYNAMY DRUK FRAGMENTÓW PAMIĘTNIKA

Z ARCHIWUM ŁÓDZKIEGO GESTAPO

„Towarzysz” NAU

W roku 1939 dostał się do niewoli. Był szeregowcem w 7 Baonie Saperów w Poznaniu. W cywilu rzeźnik.

Jako jeńiec wojenny pracował przez 3 lata w Düsseldorfie. W styczniu 1943 roku uciekł z Niemiec i zatrzymał się u rodziny w Łodzi. Ukrywał się przez kilka tygodni u swych starych kolegów — Gierkowskiego i Rzetelskiego. Dowiedział się od nich, że są członkami Gwardii Ludowej i sam wyraził chęć wstąpienia w szeregi walczących.

Po kilku dniach jednak przypadkowo zostaje zatrzymany przez żandarmów, a następnie odesłany do obozu pracy w Ostrowiu, za złamanie umowy o pracę i ucieczkę.

Było wielu ludzi, których nazwiska można by wpisać do tej historii. Wielu uciekło z Niemiec, ukrywało się u swych kolegów, walczyło ginąc. Dla wielu ta historia byłaby zakończeniem, zamknięciem jakiegoś rozdziału w życiu.

Nie dla Romana Nau. Dla niego był to początek nowej „kariery”.

Sytuacja Polaków w Łodzi była bardzo ciężka i absolutnie niesprzyjająca ruchowi oporu. Nie więc dziwnego, że wszystkie podziemne organizacje i grupy bazowały na kręgu znajomych, żytych i razem pracujących ludzi. W tych warunkach zasadniczą regułą pracy konspiracyjnej, mówiącą, że członkowie grupy nie powinni znać swych prawdziwych nazwisk, ani nazwisk dowódców — nie mogła mieć zastosowania w praktyce. W warunkach partyzanckich było to raczej obojętne. W konspiracji — nie.

W tej sytuacji posiadanie „wtyczki” w grupie pozwalało na dokładne i bezbłędne „rozpracowanie” organizacji, a następnie całkowitą likwidację.

Nie więc dziwnego, że szeregi walczących były mocno zwarte, a każdego nowego kandydata traktowano nieufnie i z rezerwą. Oceniano człowieka nie według tego co mówi, ale według tego, co robi. Była to dobra metoda, jednak jak dowiodła praktyka zawodzila.

I tak było ze sprawą rzeźnika Romana Nau.

Potraktowano go jak brata, dano mu możliwość walki z wrogiem, udzielano mu pomocy finansowej ze szczupłych zasobów, przydzielono mu poważne zadania organizacyjne — a on... ale nie uprzedzamy faktów.

W początkach maja 1943 roku do urzędnika Posterunku Służby Zewnętrznej w obozie pracy w Ostrowiu zgłosił się Roman Nau i wyraził chęć współpracy, powołując się na swe niemieckie pochodzenie i możliwość pracy w Łodzi.

Urzędnik dał mu do podpisu zobowiązanie —

„...zgadzam się w interesie Państwa Niemieckiego i Policji Tajnej współpracować. Praca moja jest mi znana i w zupełności ja teź będę bezwzględnie wykonywać...”

Jednocześnie urzędnik wy stosował pismo do łódzkiego Gestapo.

„...jako nadający się na agenta Polaka został mi wskazany rzeźnik Roman Nau z obozu pracy Ostrowo. W czasie osobistej rozmowy z Nau nie wyciągnąłem ujemnego wrażenia, dlatego robię go kandydatem na współpracownika Gestapo. Nau jest zwykłym człowiekiem i był w polskiej szkole ludowej. Należy przy puszczać, że będzie przydatny przy odpowiednim ustawieniu go... Zostaje zwolniony z obozu pracy w Ostrowie z poleceniem natychmiastowego meldowania się w Łodzi, w Referacie N.”

Szefem Referatu N (Nachrichtendienst — służba wywiadowcza, organizacja sieci konfidentów) był Se-

kreতারz Kryminalny Eddi Bayer.

Po wstępnej rozmowie z Nau zorientował się, że przez niego będzie miał — ze względu na dawne powiązania koleżeńskie — możliwość rozpracowania Gwardii Ludowej, której grupy dywersyjne rozpoczęły działalność. Pozostało tylko opracować dla niego wiarygodną „legendę”.

Nau zostaje zarejestrowany w karcotece Gestapo pod numerem „V-80”, i pozostaje na osobistej łączności Bayera.

Pierwsze zadanie brzmi — nawiązać kontakty z Rzetelskim i Gierkowskim, którzy są członkami Gwar-

dii Ludowej. Podtrzymywać swoje poprzednie chęci wstąpienia do podziemnej organizacji.

Już 18 maja 1943 roku „V-80” składa swój pierwszy meldunek. Podaje, że nawiązał kontakty i daje charakterystyki. Wysuwając sugestie, że Gierkowski miał coś wspólnego z napadem na sklep z bronią, dokonany na Piotrkowskiej.

Po kilku dniach na ulicy zostaje przez żandarmów za-

trzymany Gierkowski, lecz Gestapo wypuszcza go.

Chodziło tylko o pobranie śladów linii papilarnych, zrobienie zdjęcia — celem identyfikacji, czy rzeczywiście brał udział w tym napadzie.

Jednocześnie, na podstawie meldunku „V-80” zostaje aresztowany Henryk Marciniak, dostarczający materiał propagandowy z Warszawy. Marciniak zginał w Mauthausen w czerwcu 1943 roku.

Po aresztowaniu Marciniaka „V-80” ustalił, że grupa gwardzistów zamierza udać się do „GG”, aby przez czekać pewien okres i sprawdzić, czy nie nastąpią dalsze aresztowania.

Wyjazd nie doszedł do skutku. Aresztowany zostaje Rzetelski oraz członkowie jego grupy — Henryk Błachowicz i Stanisław Wielac.

Dalsza ich droga wiedzie do Mauthausen gdzie 18 letni Błachowicz ginie śmiercią męczeńską. Rzetelski i Wielac doczekali wyzwolenia.

Następuje okres względnie spokoju. Konspiratorzy opuszczają swe kryjówki, stwierdzając, że wpadka nie rozszerza się. Roz-

poczyna się praca i walka. Na miejsce aresztowanych trzeba dokooptować nowych bojowników. Gierkowski, członek Komitetu PPR obserwował zachowanie się rzeźnika Nau, który pomagał żonie aresztowanego Rzetelskiego, przynosząc tłuszcz i kawałki mięsa. Gierkowski postanowił wciągnąć Nau do grupy gwardzistów. Przez jednego ze swych ludzi dał znać, aby Nau zostawił adres, pod którym można go znaleźć.

W kilka dni później nastąpiło spotkanie i ogólna rozmowa, na tematy polityczne i organizacyjne.

Nau, poinstruowany przez Bayera, wyraził chęć wzięcia udziału w walce konspiracyjnej. Umówili się na następną rozmowę za tydzień, w mieszkaniu Gierkowskiego. Nau znał ten adres, więc nie było co ukrywać.

Na umówione spotkanie Nau przyszedł punktualnie, żona Gierkowskiego prosiła, aby chwilę zaczekał. Po jakimś czasie przyszła dziewczynka i kazała mu iść za sobą. Na sąsiedniej ulicy, w bramie czekał Gierkowski. Weszli do jednego z domów.

Rozmowa toczyła się na temat ostatnich aresztowań. Nau wysunął hipotezę, że ostatnia wyspa to skutek zdrady Marciniaka. Gierkowski zaprzeczył, mówiąc, że Marciniak znał wielu ważniejszych ludzi, niż aresztowani, a tamci są na wolności.

— Czy Broniek Zapala też został aresztowany?

Gierkowski spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Ty znasz Bronka?

— Tak. Spotkałem go dwa tygodnie temu. Stary znajomy...

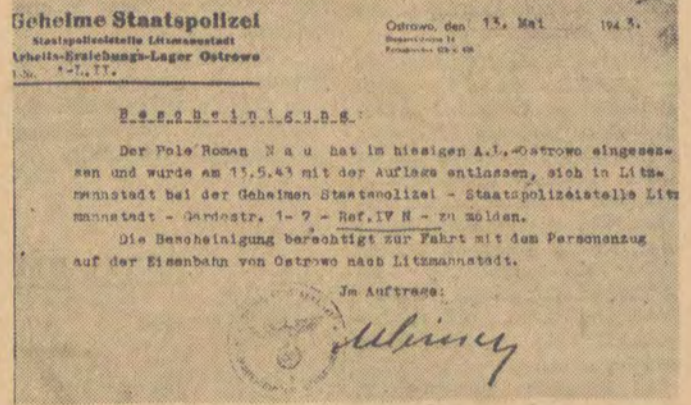
— Jest na wolności. Wczoraj byłem z nim na zebraniu „W przyszłym tygodniu otrzymam od niego gazetki.

Nau był zadowolony. Wykonał zadanie i trafił na ślad działalności Bronka Zapala, sekretarza komórki PPR — Dzielnica Bałuty. Ostatnie zadanie, otrzymane od Bayera dotyczyło właśnie ustalenia adresu Bronka.

W ciągu kilku kolejnych spotkań Nau wydobyl podstępnie adresy punktów, w których odbywały się zebrania dając przede wszystkim do nawiązania kontaktu z Bronkiem. Nie spotkał się z nim, lecz jedynie nawiązał bliższy kontakt z Kowalczykiem, członkiem PPR, który dalej wprowadzał go w pracę organizacyjną. Dzięki temu ustalił dokładnie punkty kontaktowe i tym samym miejsca, gdzie można znaleźć Zapalę.

We wrześniu 1943 r. Gestapo przeprowadziło następne aresztowania. Zatrzymany zostaje Gierkowski i Broniek Zapala.

(d. c. n.)



Z tym polecającym listem opuścił Nau obóz w Ostrowiu. Kilka niepozornych linijek maszynopisu uniósł 30 Polakom zapowiedź śmierci i męczeństwa obozów hitlerowskich.



Karta „immatrikulacyjna” konfidenta Gestapo Romana Nau



Kulisy wielkiego śledztwa



KULISY KULIS

W ostatnim czasie popiecznicy Pinnów ostro wzięli się do roboty. Jeżdżą. Inwigilują. Penetrują. Ze stoickim spo-

kojem przyglądam się tym szyfrowym wysiłkom.

Tajemnicze wyjazdy w nieznanych kierunkach Andrzeja Brychta i latającego reportera Stefana Bratkowskiego za „zielonym kufrem”, w którym ponoć ma się znajdować ów obraz-talizman rodziny Pinno spelży jak można było przewidywać, na niczym.

Owszem, pełnomocnicy rodziny Pinnów włożyli przed wojną wiele wysiłku i pieniądze w starania o pozyskanie spadku po K. J. Brandcie. Ich częste wojaże do Holandii przyniosły jednak kompletne fiasko i wobec braku jakichkolwiek podstaw dyskretne usunęli się ze sprawy i wycofali swe bezpodstawne roszczenia. Do-

wodem tego jest fakt, że nikt z tej rodziny nie ośmiela się obecnie ponowić starania.

Przepraszam, był taki jeden Pinno (niestety, brak imienia), który podobno przed pięcioma laty napisał list do b. premiera Francji Pinneau, prosząc go o interwencję dyplomatyczną u rządu holenderskiego, aby ten zechciał jemu (Pinno) przysłać samochód marki „Jaguar” za co on (Pinno) zrzeknie się swej części spadku po J. K. B.

MLYNARZ FILATELISTA

Tymczasem sprawę Pinnów jako nielotną i z góry przegraną odrzućmy na bok i udajmy się na poszukiwanie imienia ojca Gottlie-

ba czyli praprapradziadka Brandta, gdyż od tego zależy komu w udziale przypadnie ogromna sukcesja.

Otóż udało mi się odnaleźć owego pana Wenzla, który jak się okazało nie nazywa się Wenzel, ale Hanzel, dwojga imion Ignacy Karol. Pan Hanzel mieszka w Łodzi przy ul. Sienkiewicza 34. Jest to mężczyzna w sile wieku, imponującej postury, o jowialnym usposobieniu. Kiedyś kierował Toruńskimi Młynami Parowymi, obecnie zaś zajmuje się filatelistyką, w której to dziedzinie jest nie lada specem i częstokroć powoływany jako rzeczoznawca rozstrzyga bez pudła zawikłane i pełne niuansów problemy filatelistyczne. Tuszę, że obok mnie na znajo-

mości z tym sympatycznym panem skorzystał w „Odgłosach” najwięcej redakcyjny goniec, któremu pan Hanzel w dwójn sób powiększył zbiór pocztowych znaczków.

Pan Hanzel jest spokrewniony z Rychterami i często spędzał letni urlop w Mamińcu koło Bibianowa. Z leżką w oku wspomina te dobre i piękne czasy, kiedy woda maleńkiego strumyka leniwie poruszała wielkie miłyńskie koło. — Był, panie dziejku, kiedyś w tym kraju do-brzy młynarze — mówi pan Hanzel.

Młynarzem był Karol Rychter — pradziadek pana



(Dalszy ciąg ze str. 1)

który na 3,5 ha nie najlepszej ziemi dorobił się w krótkim czasie wcale pokaźnej fortuny.

O fortunie pana Kazimierza krąży w powiecie łaskim legenda. Jedni mówią, że kupił sobie już 6 placów w Pabianicach, drudzy jeszcze dodają kamienie w Ksawerowie. Ile jest prawdy w tych opowiadaniach — nie wiem.

Wiem natomiast, że oprócz samochodu i motocyklu pan Kazimierz posiada sporą ilość garderoby.

Jak każdy praktyczny człowiek wykorzystuje ją w odpowiedni sposób. W czwartek, 15 października br. na targu w Łasku trzy razy zmieniła swój ubiór. Obserwujący go ludzie twierdzą, że robił to dlatego, aby zmylić czujność obecnych na targu inspektorów kontroli. Za każdym razem rozpoznawano go. Mimo to kupił trzy krowy. Inna sprawa, że żona z nich nie trafiła do obory pana Kazimierza.

Dwie „zaginęły” gdzieś po drodze. Jedną rozpoznano u krewnego pana Kazimierza, również Grzegorza.

Ostatecznie każde wolno kupić krowę.

Dowiedziałem się, że było i trzoda kupione przez Grzegorza w Łasku. Konstantynowie, Szadku, a nawet w Żelowie ginie śmiercią kwalitowna i nienaturalna. W tym roku na swoim koncie ubójów ma p. Kazimierz wg wykazów tylko 1 krowę 3 cielęta i cztery świnię. Natomiast żona Kazimierza, Halina, w tym samym okresie sprzedała na wolnym rynku 3 krowy i 1 cielę. Ile zwierząt rzeźnych w tym roku rozprzedałi wszyscy Grzegorz? Wypada cyfra imponująca — 25 krów, 12 cieląt, i 12 świń. Cyfry, które podaje można sprawdzić. Ci, którzy znają pana Kazimierza twierdzą, że co najmniej drugie tyle zwierząt zginęło z jego ręki na zezwolenia wydane na nazwiska innych osób.

Jest to bardzo prawdopodobne. Grzegorz bowiem ma w swoim zakresie wielu znajomych, którzy gotowi są zrobić im każda przysługę. Szczególną sympatią cieszy się tych jedenastu budrysów w GRN w Żytowicach. Przeglądałem uchwały tej Rady w sprawie ulg podatkowych. Rada Gromadzka uchwała nr 16-32-59 z 7. X. 1959 r. postanawia umorzyć Michałowi Grzegorzowi podatek gruntowy za rok 1957 w wysokości 1,561 zł. Inna uchwała umarza Czesławowi Grzegorzowi podatek za rok 1958 w wysokości 2,992 zł.

Uzasadnienie? Obydwa „sa w ciężkich warunkach”. Sprawdziłem „konto” ubójów jednego i drugiego. Cze-

ślaw Grzegorz zabił i sprzedał na wolnym rynku w tym roku 2 krowy, 3 cielaki i 1 świnię.

Michał — 4 krowy, 1 cielę i 1 świnię. Biedacy! Zaznaczam, że podaje cyfry sprawdzalne.

O uboju na inne nazwiska już nie mówię. Chociaż...

ZEZWOLENIE — RZECZ NABYTA

Czytałem złożone na piśmie oświadczenie Antoniego

JAK W GALILEI

Nie jest to sporadyczny wypadek fałszowania kwitów i wykazów obowiązkowych dostaw. W gromadzie Jeżów, referentka do spraw skupu Daniela Burska potrafiła zmieniać dowolnie gatunek zwierząt dostarczanych przez chłopów.

Władysław Kuster dostarczył na spód 40-kilogramową owcę. Pani Daniela zamieniła te owce na krowę o wadze 400 kg. Zbliżonego ekspery-

Rejonowej, o 12 w nocy próbowano ostrzec Błażka. Wyślano w tym celu motocyklem specjalnego posłańca.

Tym razem jednak posłaniec nie zdał na czas. W ślad za nim zjawił się inspektorzy. W „wytwórni” Konstantego Błażka skonfiskowano około 200 kg mięsa i wędlin z nielegalnego uboju. Stary handlarz bronił się zaświadczeniem lekarskim. Przedstawił inspektorom zaświadczenie, że ze względu na zły stan zdrowia nie jest

NIE PCHAĆ SIĘ!

Z moich własnych obserwacji i udostępnionych mi materiałów odnośnie wrażenie, że wielu urzędników rad gromadzkich, pcha się wszelkimi siłami do...

Nadużycia ich są tak prostacko naiwne, że może je uzasadnić jedynie wiara w kompletną ignorancję powiatowych kontrolerów. Paprotnia, Górka Pabianicka, Kodrań, Jeżów, Żytowice nie należą do wyjątków. W jed-



Jedenastu Grzegorz

Kupskiego z Górki Pabianickiej. Kupski pisze, że sprzedał za 3,000 zł krowę i zezwolenie na ubój znanemu w powiecie łaskim spekulantowi Konstantemu Błażkowi. Nie jest tajemnicą, że za parę złotych można takie zezwolenie kupić w wielu gromadzkich radach.

Referentka do spraw skupu, Lucja Urbaniak, pracowała swego czasu w Gromadzkiej Radzie w Żytowicach. Za kombinację miała być zwolniona dyscyplinarnie; dzięki wstawiennictwu jednej z byłych osobistości w powiecie, pozwolono jej odejść na własną prośbę. Po niedługim czasie pani Lucja objęła analogiczną funkcję w GRN Górka Pabianicka.

Przeglądałem wystawione przez nią zezwolenie na ubój gospodarzy. Na pięciu kwitach brak jest podpisów tych rolników, na których nazwisko zezwolenie wystawiono.

Na jednym podrobiony podpis rolnika Jana Kalużnego. Pani Urbaniak przyznała, że sama podrobiała ten podpis.

Fikcyjne zezwolenia na autentyczne nazwiska można kupić nie tylko w Górze Pabianickiej.

Jak się dowiedziałem, pani Lucja odchodzi z pracy na własną prośbę.

Ciekawe, w której Gromadzkiej Radzie obejmie nową funkcję?

mentu dokonała z baranem odstawionym przez Mariana Sromeckiego.

Baran ten został zaliczony p. Sromeckiemu za barana, a przedstawionemu wyżej p. Władysławowi, ten sam baran wpisany został jako... 120-kilogramowa świnią. Jednym słowem za pośrednictwem p. Daniela państwo otrzymało bezwartościowe wykazy, natomiast spekulanci — było i trzoda do prywatnych straganów.

„Zdolnościami p. Daniela zainteresował się prokurator.

SOJUSZ Z CWANIAKAMI
Ma 6 hektarów ziemi. W GS sprzedał w tym roku 19 skór bydłowych.

Na dziesięć ubójów otrzymał zaświadczenie lekarza weterynarii.

Wiedzano, że trudni się od lat nielegalnym handlem mięsem.

Wiedzano, że dostosował jeden ze swoich budynków do uboju zwierząt i wyrobu wędlin. Wiedzano również, że sprzedał w tym roku na wolnym rynku ponad 50 sztuk zwierząt rzeźnych.

Był dostawcą mięsa i wędlin do Pabianic, Łasku i Łodzi. O tym wszystkim wiedziano.

Kontrole przeprowadzane u niego nie dawały rezultatów. Błażka uprzedzano w pore. Przed ostatnim przyjazdem inspektorów kontroli

zdolny do przesiadywania w areszcie. I na tę ewentualność był zabezpieczony. Podano go powtórnemu badaniu. Zdrow jak ryba. Siedzi.

PISZA ANONIMY

Jestem w posiadaniu anonimów, który wpłynął do Rozgłośni Polskiego Radia w Warszawie. Autor anonimów donosi w nim o szachrajstwach dokonywanych przez klasyfikatorów na punktach skupu. Wojewódzki Pełnomocnik do spraw skupu dyr. Hilewicz rozesał ten anonim do organów ścigających nadużycia w skupie mięsa jako... instrukcje.

Niedawno przeprowadzono weryfikację klasyfikatorów. Groteskowa weryfikacja. Czytałem jeden protokół weryfikacyjny. Komisja stwierdza, że klasyfikator K. z Rawy Mazowieckiej ma przygotowanie zawodowe dobre. Przygotowanie polityczne — słabsze.

W sumie otrzymał ocenę bardzo dobrą. Wymyślnie uzyskał zapewne za to, że nie wiedział, jak się nazywa premier rządu PRL. W tydzień później klasyfikator o bardzo dobrej opinii zrobił kancik, który grzecznie mówiąc, zdyskwalifikował jego fachową wiedzę.

Okpił rolnika na kilkadziesiąt kilogramów mięsa. Nierządzący klasyfikatorzy napędzają ładniejsze sztuki zwierząt w ręce handlarzy. Jota w jota w taki sam sposób, jaki podaje autor anonimów.

tylko gromadzie Kobielle Wielkie, w Radomszczańskim, straty spowodowane przez tamtejsze Prezydium wynoszą około 500 tysięcy złotych. Co z tego, że trzech ludzi siedzi w areszcie? Żadna pociecha. Gdzie byli kontrolerzy powiatowi? Owszem, byli. Byli, popili nie raz, nie dwa, nie trzy i... pojechali. Za ich plecami dziesiątki ton mięsa pojechało na wolny rynek. Nadużycia w skupie żywca nie ograniczają się wyłącznie do gromadzkich rad. Referent skupu w PRN w Piotrkowie, Bronisław Saj, wydał 70 fikcyjnych decyzji anulujących chłopom obowiązkowe dostawy. Jest już na państwowym „utrzymaniu”. Zdażył przedtem uszczknąć ze skarbu państwa ponad 100 tysięcy złotych. W tym roku w naszym województwie straty wynikłe z nadużyć w dostawach mięsa sięgają już 1,5 miliona złotych. To jest suma wykrytych dotychczas nadużyć.

RECE NA STOŁ

Władze powiatowe znają na ogół podległych sobie pracowników. O jednym z przewodniczących gromadzkiej rady słyszałem w powiecie opinie „głupi Lucek”. Głupi to on może być, ale dlaczego musi być przewodniczącym rady? Inny przewodniczący GRN pobral z konta gromady 70 tysięcy złotych na budowę... własnego domu. O tym się mówi. I co? Ludzie ci piastują nadal swoje funkcje.

Komisje weryfikacyjne pracowników rad, nie tylko gromadzkie, miałyby zapewne uzasadnioną egzystencję i ręce pełne roboty.

Druga sprawa to nadużycia w państwowych punktach skupu. Wiadomo powszechnie, że większość klasyfikatorów to byli rzeźnicy lub właściciele masarni. Mają oni szerokie znajomości z rzeźnikami trudniącymi się nielegalnym handlem mięsem. Na każdym spędzie handlarze kreca się stadami w pobliżu klasyfikatora. Znanne są wypadki, że klasyfikatorzy w zmoście ze spekulantami świadomie obniżają klasę i wartość dostarczanych przez chłopów zwierząt. Chłop nie zawsze wiedzie i do kogo odwołać się w wypadku zbyt niskiej jego zdaniem oceny zwierzęcia. Odchodzi ze spędu. Prywatni handlarze dają mu 100 lub 200 złotych więcej niż dawał mu klasyfikator. Chłop gozi się. To samo zwierze jeszcze w tym samym dniu wraca z handlarzem do tego samego klasyfikatora, który przynajmniej zwierzęciu wyższą klasę, a handlarzowi różnicę w gotówce od 600 do 1.000 złotych. Nie robi się takich transakcji na ładne oczy. Klasyfikatorzy zarabiają 1.200 zł miesięcznie. Są to jednak przeważnie ludzie zamieszani. Społeczne komisje oceny zwierząt rzeźnych przy klasyfikacji ułatwiłyby mu prace i uchroniły od pokus, które przynoszą straty rolnikowi i państwu.

Bez porządków w radach gromadzkich, bez kontroli klasyfikatorów nie można liczyć na szybkie ograniczenie spekulacji mięsem. Spekulanci czują się swobodnie w urzędach i na targowiskach. Władze milicyjne i sądowe nie zawsze są w stanie w porę położyć kres ich machinacjom. Dotychczas na terenie woj. łódzkiego schwytało ponad 120 handlarzy. (26 z nich „siedzi”). Reszta chodzi na wolności, czeka na sprawy i handluje, żeby zarobić na adwokatów. Opijając korzystnie przeprowadzone transakcje, wnoszą oni toasty za zdrowie władz gromadzkich, powiatowych i wojewódzkich. Czy mam im odpowiedzieć: „Sto lat”?

BOGUSŁAW HOLUB



SPADEK RODU MŁY-NARZY

Ignacego Karola, który miał pięciu synów i jedną córkę. Jeden z tych pięciu synów — Adolf po śmierci swego ojca objął młyn i do niego to często latem zaglądał pan Hanzel.

Wszyscy oni już pomarli, został się tylko Eugeniusz, który mieszka w dalekim Santiago, gdzie również jest właścicielem kilkunastu młynów.

Katify wielkiego śledztwa

Karol Rychter ożeniony był z córką Gotlieba Tullinusa i przywedrował na łódzką wieś pod Ozorkowem w pierwszej połowie XIX wieku z Dolnego Śląska.

ZOLNIERZE NAPOLEONA

A Tullinus to znów kawał ciekawej historii, historii żywej, z którą obcowanie autora niniejszego coraz bardziej doprowadza do przekonania, że wszyscy ludzie są spokrewnieni ze sobą. Bo trzeba nam wiedzieć, że Gotlieb Tullinus był żołnierzem armii napoleońskiej i pochodził aż z Flamidii. W czasie odwrotu od Moskwy kiedy patriotyczna hrabianka Walewska poświęcając się dyplomacji miłośnej oddała na ołtarz sprawy narodo-

wej swą część i cnotę, przyjmując amory Bonaparte, rannego kanoniera G. Tullinusa, pielęgnowała Balbina Brandtówna rodzona córka Gotlieba Brandta z Bibiano-wa (Babiak).

Tak więc dzielny żołnierz wojny nie wygrał, ale w to miejsce zdobył serce Brandtówny, co mu skompensowało całkowicie militarną klęskę napoleońskiej armii. Tullinus zamieszkał w Królewskich Dębach i został młynarzem.

Po piętnastu latach zdognanego pożycia małżeńskiego w starym wojaku odezwała się dusza mistyka, zostawił żonę i siedmioro dzieci a sam powędrował do grobu Chrystusa. Nie powrócił stamtąd już nigdy. Z Jero-

zolimy jako misjonarz udał się do Afryki. Pech chciał, że szczep murzyński, do którego trafił, przeżywał akurat trudności na rynku mięsnym...

AUSTRALIA — ZGIERZ — INDONEZJA

Swego czasu wspominałem o staraniach Brandtow na terenie Indonezji. Moi tak zawsze miarodajni informatorzy trochę się w tym wypadku pomylili, ale w gruncie rzeczy nie zmienia to faktu, że „sprawa spadku po J. K. B.” posiada jednak charakter rzeczywistej międzynarodowej.

Otóż, jak pisze Stefan Bratkowski, jesienią 1952 roku albo na wiosnę 1953 roku

zgłosił się do Jerzego Brandta ze Zgierza Brandt z Grabowa lub Grabiszewa, pokazując list od syna w Australii, który w związku ze spadkiem wybierał się do Indonezji. Syn ów prosił ojca o poszukiwanie osób i dokumentów na terenie Polski. Ojciec spełnił prośbę, ale nie konkretnego nie zwojował i prawdopodobnie zrezygnował z dalszych starań.

Bliższych informacji (na razie) nie zdołaliśmy na ten temat uzyskać. Niezależnie jednak od tego z domu rodziców pana J. Brandta ze Zgierza przechowywano przed wojną artykuł na temat spadku, który ukazał się w roku 1929 w „Echu Łódzkim”. I jeszcze jedna rewelacyj-

na wiadomość. Aleksander Pinno uważany był w domu rodziców Jerzego Brandta za krewnego i co ciekawsze — sprawę odzyskania spadku podejmował w latach międzywojennych w porozumieniu z Brandtami.

Tak więc, jak sami państwo widzicie, sprawa spadku zaczyna się powoli wyjaśniać i miejmy nadzieję, że już w niedługim czasie wielki ród młynarzy Brandtów podejmie również wielką fortunę. Zanim jednak nastąpi ta uroczysta chwila, będziemy nadal informować czytelników o szczegółach tej niewątpliwie frapującej historii.

Wielkie śledztwo trwa.

(Dokończenie ze str. 1)

trawa. Jad ten, pięćset tysięcy razy silniejszy od czystego alkoholu, pochodzi prawdopodobnie z rozpadu adrenaliny — wydzieliny organicznej niezbędnej do życia. Preparat ten i podobne udało się wyodrębnić i — uwaga! — zastrzyknąć, powodując sztuczną schizofrenię. Dokonał tego niedawno na samym sobie dr R. pracownik kliniki psychiatrycznej A. M. w Łodzi.

Relacja z tego nieprawdopodobnie odważnego eksperymentu stała się m. in. przedmiotem obrad krajowego sympozjum psychiatrycznego. Oto jej krótkie fragmenty przetłumaczone na język powszechnie rozumiany:

15 minuta. R. zachowuje świadomość. Odczuwa błogostan. 23 minuta. Pojawiają się pierwsze symptomy psychozy. Wrażenie kur-



czenia się ciała, rozplywania się. Pyta: „czy ja prawidłowo chodzę?”. Chodzi prawidłowo. Doznaje uczucia dławienia gardła. 25 minuta. Zaburzenia postrzegania wzrokowego: dostrzegane przedmioty ulegają zniekształceniu. Zatraca poczucie odległości. Barwy stają się intensywnie wysyczone. 30 minuta. Narasta uczucie lęku. Przedmioty, dotąd zniekształcone, zaczynają na bierać nowych, odmiennych cech. Rozpoczynają własne życie. 35 minuta. R. traci powoli kontakt z otoczeniem. Uskarża się na przyspieszony bieg myśli i nie

możność koncentracji uwagi. Mówi: „Nie mogę nic zapamiętać, myśli biegną tak szybko”. 55 minuta. Pole świadomości staje się bardzo zwężone. R. nie wie już że poddał się eksperymentowi. Mówi: „To jest delirium. Nie chcę pozostawać w halucynacji”. 60 minuta. Przestaje rozpoznawać otoczenie. Robi wrażenie zahukanego. Nie odpowiada na pytania lub odpowiada niezgodnie z treścią pytań. 70 minuta. Staje się ruchliwy, wielomówny. Wypowiedzi są bez sensu. Równowagi jednak nie traci. Przy próbie położenia do łóżka gwałtowny i czynny opór. Po chwili dobrowolnie, ale z wyraźną determinacją, kładzie się. W tym miejscu, wobec wystąpienia objawów

była katastrofa powszechna — w momencie, gdy położyłem się do łóżka. Od tej chwili miałem już tylko mgliste halucynacje i urojenia o treści mistycznej i religijnej”.

Była to, najogólniej biorąc, psychoza odpowiadają-

lowa nawrotów choroby, prób samobójczych, przestępstw — tu ma swoje źródło.

Zaczynam stać od męskiego oddziału dla „niespokojnych”. Nie szczegółowo. Spokojnie. Dwóch pielęgniarzy, ja, w lekarskim fartuchu i 18 pacjentów. Drzwi bez klamek. Ale krat w o-

Wokół kibicują współtowarzyski z jakąś okrutną satysfakcją. A słownik! Gdzież wam do niego, dorózkarze warszawscy!

— Co jej jest? — pytam jedną z pacjentek wskazując na Halinkę.

— Nic jej nie jest, chłopca potrzebuje!

— A co pani tu robi? — Jestem w szpitalu psy-

kontakt. Od takiej chwili kuracja wchodzi na nową drogę. Pozamedyczną drogę. Decyduje takt, umiar, dobroć, zwykła ludzka cierpiwość lekarza — opiekuna, lekarza-pedagoga, lekarza-humanisty. Lekarza, który przywraca coś więcej niż zdrowie — przywraca CZŁOWIECZENSTWO. Tu dementą dla zupełnie



kejach: zdolności sądu krytycznego i zdolności do uczuć wyższych. Largaktil — okazuje się — to nie wszystko.

Dlatego właśnie rekonwalescentom tak bardzo potrzebna jest przychylność, serdeczność, troska. Potrzebna jest...

„KOCHANÓWKĄ”

ca schizofrenii paranoidalnej z urojeniem końca świata. Oczywiście urojenia są różne i inne objawy obłąkania są różne. Tak, jak nie ma dwóch jednakowych ludzi.

Na razie, po tej dygresji, możemy stwierdzić, że jesteś medycyną na tropie i chwala ci za to! Po czym odważnie przekroczyliśmy bramy szpitalne, znad których zmasakrać trzeba fatalistyczne strofy Dantego: „Wy, którzy tu wchodziście, wszelką nadzieję porzućcie”.

Wszystko tu jest nieprawdopodobne, gdy przybywa się z krainy anegdoty. Z lekarskiej dyżurki, gdzie odbywa się moja reporterska immatrykulacja, telefonuje

knach nie ma. Nigdzie. To już przeżytek.

Jeden z chorych chodzi po sali tylko w koszuli. Próbuje z nim rozmawiać — nie reaguje. Świeży przypadek. Trzy dni temu przywiozła go milicja. Usiłował zgwałcić 7-letnią dziewczynkę. Lekarze podejrzewają niedorozwój.

Większość chorych śpi. Są albo po elektrowstrząsach, albo po silnych dawkach largaktilu. Każde podniecenie, niepokój przejawiany przez chorego, są natychmiast meldowane lekarzowi, który stosuje zabieg uspokajający. To tutaj naczelne

chicznym. Amor i Psyche. Jak się Amor oddzieli od Psyche... Rozumie pan?

Park szpitalny jak każdy inny szpitalny park. Pacjenci siedzą na ławkach, rozmawiają, chodzą po kilka osób, chodzą parami, chodzą samotnie, czytają gazety, książki, wiele kobiet z „ro-

biednego, acz powszechnego przekonania, że chorzy umysłowo czują się szczęśliwi w swoim świecie. Co najmniej 80% — to ludzie wewnętrznie nieszczęśliwi, przeżywający tragedię, kataklizm,

Rozmawiam z panią N. Szósty miesiąc w „Kochanówce”, ale za to jutro — do domu. Trzydzieści lat, wykształcenie średnie, pracowniczka umysłowa. Schizofrenia zaczęła się po porodzie.

Dość dziwnie — miłością do lekarza z kliniki położniczej. Miłość ta jednak była brzemienne obłędem, ponieważ w krótkim czasie lekarz ów wydał się wcieleniem szata na nastającego na jej duszę. Mijały tygodnie — N. trapiła się myślą, że kocha diabła, czego w żaden sposób nie mogła pogodzić ze swym katolicyzmem. Choroba rozwijała się. N. wróciła po urlopie macierzyńskim do pracy. Oteczenie niczego nie podejrzewało, choć w tym czasie schorzyła wyobraźnia obdarzona cechami diabelskimi wielu innych mężczyzn — męża i kolegów biurowych. To wyznaczało jej stosunek uczuciowy, ale nie było jeszcze konfliktów. Targana wewnętrzna rozterka poszła do

Świat odczarowany

Kontakt-suplement do rewolucji

Bez anegdoty

Schizofrenia w retorcie

prześladowania, tak zwane stany euforyczne połączone z radosnym podnieceniem należą do rzadkości. W dniu, w którym byłem w „Kochanówce” na 742 chorych nie było ani jednego takiego.

Otóż kontakt zaczyna się wtedy, kiedy chory ujawnia lekarzowi treść swojej tragedii. Tragedii — oczywiście — urojonej. Nawiasem mówiąc tak chętnie weale tego nie czyni. Nieprawdą jest bowiem również, że chorzy obnoszą się wszem i wobec ze swymi cierpieniami. Co najwyżej z ich postawy, z zachowania, ze zdawkowych wypowiedzi, prób czy skarg lekarz może coś wnioskować.

Każdy chory ma jednak swój własny, do pewnego stopnia logicznie skonstruowany świat wewnętrzny. Ten świat długo pozostaje tajemnicą dla otoczenia. Kontakt z chorym przelamuje dwie najfatalniejsze strefy obłąkania: po pierwsze zupełny brak krytycyzmu, po drugie zu-



spowiedzi. Książka zaproponowała wizytę u psychiatry. Cóż, kiedy i on w tym momencie stał się wcieleniem diabła — a cały kościół pełen diabłów. Z krzykiem wybiegła na ulicę i w takim stanie przywieziono ją do „Kochanówki”.

Historia sprzed 6 miesięcy.

prawo. Dlatego też nie ma w „Kochanówce” ani jednego „kaftana bezpieczeństwa”, ani jednej kabiny „zimnych natrysków”. Odeszły do lamusa razem z kratami.

Tak samo, jak odejść z tej „niespokojnej sali” jej dzisiejsi pacjenci. Choć nie wszystkim można rokować całkowity powrót do zdrowia — to jednak stan podniecenia dość szybko udaje się lekarzowi opanować. Potem — na innych salach — będą dzień po dniu, z uporem, wyrzynani z zaczarowanego świata.

„Niespokojna” sala kobie-

botkami” w rękach. Tu i ówdzie wprawne oko lekarza dostrzeże i zwraca swoją uwagę na jedną z koronnych cech schizofrenii — zmanierowanie. Chorzy na schizofrenię — a stanowią tu oni, jak zresztą we wszystkich szpitalach psychiatrycznych, ogromną większość — mają coś ledwie uchwytnie nienaturalnego w sposobie bycia. Jakaś poza, patos, czasami nonszalancja. Próżno byś jednak, Czytelniku, chciał na tej podstawie wypowiadać sądy o psychicznym zdrowiu swych bliźnich. Próżno — i byłoby to pewnie bardzo ryzykowne.

Słońce grzeje i pół szpitala jest w parku. Spacerujemy wśród chorych. Klaniają się, zapraszają do rozmowy. Nie, nie dlatego, że są umysłowo chorzy. Tu każdy lekarz zna większość pacjentów. Długie miesiące

naucę. Właściwie mógłby już wyjść, bo poprawa jest duża. Boimy się o otoczenie. Jak wiadomo pobyt u nas nie jest dobrą rekomendacją na powrót do normalnego życia...

— A przecież wypisano gdzieś na pomniku, że stonunek do umysłowo chorych określa kulturę narodu.

— Niestety tylko na pomniku...

To będzie się powtarzało ciągle na każdym kroku, aż do znudzenia: otoczenie. Dzikie, dyskryminujące, nie ludzkie. Zapamiętajcie: po-

ca jest rzeczywiście niespokojna. Choroby umysłowe u kobiet w ogóle przebiegają inaczej. Dwa różne światy hormonów odarte, z intelektu i uczuć wyższych oddalają się od siebie gwałtownie, zachowując podobieństwo tylko biologiczne.

Na łóżku miota się 17-letnia uczennica z Tomaszowa, Halinka. Dziś przywieziona karetką. Ostry rzut schizofrenii. Wszystkie symptomy „furi” zarejestrowane przez ludową mądrość — nie ma więc co powtarzać.

kuracji to nie tylko largaktil, insulina, elektrowstrząsy, słowem człowiek-przypadek, człowiek-karta zabiegowa wiążąca przy łóżku z wykresem temperatury. Te długie miesiące to przede wszystkim kontakt chorego z lekarzem. Kontakt bardzo osobisty, nierzadko bardzo intymny.

Wielkie słowo, KONTAKT. Suplement do rewolucji w psychiatrii.

Jedną z młodych lekarek opowiada mi, że popłakala się ze wzruszenia, gdy po raz pierwszy w lekarskiej karierze nawiązała z chora-

pełną obojętnością uczuciową. Teraz lekarz będzie powoli, systematycznie pogłębiał wylom w chorej świadomości. Musi z wielkim skupieniem i powagą wysłuchiwać najabsurdalniejszych historii, wyszukiwać w nich punkty dogodnie do ataku, do przekonania chorego że nie ma racji.

Chory umysł musi wyzwolić się z więzów, musi odzyskać pełną sprawność w swoich elementarnych fun-

Dziś normalny człowiek. Wraca do społeczeństwa z tęsknotą, nadzieją i zaufaniem.

BEZ EGZOTYKI ALE Z PRZESTROGĄ

zapaści, eksperyment przeprowadzono odpowiednim zabiegiem.

R. wracał do normy kilka dni. Przez ten czas był zamknięty w sobie, obojętny dla otoczenia. Późniejsza jego relacja brzmiała: „Przeżyłem autentyczny koniec świata i własną śmierć. Ostatnie, co pamiętam, to



ANDRZEJ MAZUR

●

Ciąg dalszy nastąpi



Jerzy NOWOSIELSKI

JERZY NOWOSIELSKI — obecnie profesor Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych — jest dyplomantem tej uczelni. Karierę malarzką Jerzy Nowosielski zaczął od wystawienia w krakowskiej grupie młodych artystów w roku 1945 (Kantor, Mikulski, Skarżyński, Szule, Maciarska, Rożniewski). Na tej wystawie powrócił zresztą w roku 1946, zaprezentował malarstwo figuratywne, ale już lata 1947-50 to okres, w którym artysta tworzy kompozycje abstrakcyjne typu geometrycznego. Od tego okresu zainteresowania Jerzego Nowosielskiego idą w kierunku malarstwa przedstawiającego. Poza ekspozycjami zaprezentowanymi w Polsce do najciekawszych wystaw Jerzego Nowosielskiego za granicą należą: w roku 1948 na polskiej wystawie sztuki nowoczesnej w USA, w roku 1949 — w Czechosłowacji, wystawa indywidualna w ramach polskiej ekspozycji na XXVIII Biennale w Wenecji, na ostatnim Biennale w Sao Paulo itd.

— W latach młodzieńczych — mówi Jerzy Nowosielski — zetknąłem się z malarstwem ikon. Te zjawiska w jakiejś mierze wyrobiły do mnie w latach 1932-55 i one właśnie wyznaczyły mi dalszą drogę rozwoju. To, co dziś robię, to malarstwo figuratywne z jakimś obcesem zrodzoną przy zetknięciu się z ikoną.

— Z jakim kierunkiem w plastyce współczesnej czuje się Pan związany?

— Z żadnym. Był okres, kiedy grawitowałem w kierunku surrealizmu, później abstrakcji. A teraz, wydaje mi się, że w żadnym. Dzisiaj nie można łączyć twórców w szkoły. Twórcy są to indywidualności, z którymi trudno pozostać w bezpośredniej zależności.

— Co Pan sądzi o przyszłości sztuki nieprzedstawiającej?

— Mnie się wydaje, że to jest tak jak zawsze było, obok sztuki, nie powiedziałbym odzwierciedlenia, ale jakiegoś komentarza rzeczywistości zewnętrznej, istniała sztuka abstrakcyjna jako ornament architektury, plaszczyny,

przestrzeni. Tylko że plastyka nowoczesna, to nie tylko malarstwo. Na to pojęcie składa się cały zespół twórczości plastycznej (architektura, urbanistyka, sztuka zdobnicza itp.). Natomiast malarstwo stanowi w tym zespole działkę węższą i jak gdyby filozofię. W malarstwie rozwiązuje się problemy filozoficzne par excellence w sposób abstrakcyjny. Mnie się wydaje, że sztuka abstrakcyjna jest wieczna, bo wieczne są problemy i nie można wrócić zanku malarstwa abstrakcyjnego.



Fot. Gerard Puclato.



— Jakie widzi Pan możliwość zainteresowania odbiorców sztuką nowoczesną?

— Dla mnie sztuka to pojęcie za szerokie. Może zajmujemy się wobec tego malarstwem. Jak wynika z moich wypowiedzi malarstwo nowoczesne uważam za filozofię plastyki. A filozofia nigdy nie była zjawiskiem masowym. Malarstwo nie będzie udziałem szerszych kręgów odbiorców. Jest to sprawa hermetyczna. Trzeba się bardzo, rozwinąć wewnętrznie, żeby nawiązać kontakt z malarstwem. Tutaj i cenzus nie pomoże, chociaż jest nie bez znaczenia. Istnieje bowiem wiele typów fałszywego kontaktowania się ze sztuką. Można być historykiem sztuki i nie mieć kontaktu ze sztuką, tak jak można być prostym człowiekiem i być z nią w kontakcie. Jest to elitarność świadomego, typu. Dla tych, którzy dzisiaj zdają maturę, to już nie jest sztuka nowoczesna.

To jest sztuka jaką zastali. Cały krzyk wokół sztuki nowoczesnej traktuję jako problem sztuczny, postawiony przez ludzi starszych, bo już ich dzieł tego problemu nie odczuwają.

— W jakich warunkach Pan pracuje?

— Z malarstwa nie wyżyje. Muszę podejmować się innych zajęć, jak np. pedagogicznych, zleconych. Ale u mnie nie jest jeszcze najgorzej. Co najmniej dziwna wydaje mi się dotychczas nieregulowana sprawa odpłatności za udział malarzy w imprezach nawet międzynarodowych, w przeciwnieństwie np. do muzyków, aktorów itp., którzy za każdy występ mają płacone. No, oczywiście, za filozofowanie u nas się nie płaci i żadnych mecenasów z fanaberiami się nie znajdzie.

— Jak się Pan czuje w Łodzi?

— Dobrze. Łódź jest miastem, które wywiera małą presję na twórców. Jeśli

chodzi o awangardę, o której pan wspominał, ja ją bardzo cenię, ale wydaje mi się, że była bardzo prowincjonalna. Zresztą samo miasto jest dziewiętnastowieczne. Dzisiaj w całej Polsce nie ma środowisk artystycznych, bo ostatecznie kiedy jest tysiąc twórców, to jest na pewno środowisko, no ale kiedy jest sześć tysięcy trudno to nazwać środowiskiem. Dzisiejszy czas nazwałbym epoką wielkiego osamotnienia artystów. To tylko lata dwudzieste były epoką grup, bo dzisiaj to już co innego. Najgorzej, wydaje mi się, przedstawia się sprawa młodych twórców, którzy nie mają szans urzeczywistnienia, to znaczy mam na myśli odnośny punkt w regulaminie Związku Polskich Artystów Plastyków, który tzw. członkom nadzwyczajnym, a więc młodym, nie udziela prawa czynnego głosowania...

Rozmawiał

MARIAN ZDROJEWSKI

WŁADYSŁAW WALTER

W roku 1957 obchodzono pięćdziesięciolecie pracy aktorskiej Władysława Waltera. Jeszcze dwa lata cieszył się, jakby powiedział Grzymała-Siedlecki, sympatią „wszystkich pięter sali teatralnej”. „Jest aktorem dobrym co się zowie — pisał o nim — aktorem, który swoją sztukę doprowadził do wysokiego stopnia, bo do prostoty”. Przemawiał do „wszystkich pięter”.

Walter był aktorem kilku pokoleń widzów teatralnych. Pozostawia za sobą więcej „niż nieuchwytną legendę”. Rysunek Jego postaci zostanie utrwalony w niejednym „Świecie aktorskim” naszych czasów. I w niejednym studium o teatrze i jego ludziach. Waltera nie ma, lecz „pozostawił światu swój obraz”. Utrwalił go w doskonałych kreacjach aktorskich. Buchalter w „Codziennie o piątek”. Czławka w „Wieczorze trzech królów”. Jęniakiewicz w „Wielkim człowieku do małych interesów”. Jakub w „Skapcu”. Dyndański w „Zemście”. Rysować by można portrety walterowskie na podstawie przeszło pół tysiąca ról, nie licząc występów operowych („Halka”, „Hrabina”, „Faust” itd.), na deskach Berdyczowa, Żytomierza, Warszawy, Łodzi, w miastach prowincji i stolicy, od pierwszej wędrowności w roku 1906 z zespołem Jarszewskiego, aż po 1959 do sceny Teatru Jaracza w Łodzi; na podstawie 28 kreacji filmowych. Można rozprawić o walterowskim humorze, szczerym, ludowym, nie pozbawionym głębi. „Jedno słowo wystarczy, żeby odmalować postać” — mówi Marcel Achard. Jeden gest pozwala na odgadnięcie aktora. „Możesz nie znać Marymontu, Woli czy Ochoty (zwłaszcza Ochoty), a z artyzmu Waltera wyczujesz ich duszę” — wspomina Grzymała. I nazywa tę nutę w talencie Waltera „aż do etnicznych przyciesi narodową”. Dlatego w Warszawie uważano go za warszawianina. W Łodzi za łodzianina. Walter był wszystkim bliski, bo był nasz, ludowy.

T. M.

W poprzednim felietonie pisałem o uciążliwych gościach z Baczysaraju. Źródłem różnych zatargów z dyplomatai tatarskimi było również i to, że przywozili oni bez oceny towary wschodnie, którymi ku zgorzeleniu miejscowych kupców handlowali. Przy każdorazowej kwaterze poselskiej powstawał mały sklepik, miejsce ożywionych targów. Dla usuwania konfliktów i sporów między Tatarami a ludnością miejscową byli wyznaczani specjalni urzędnicy, zwani przystawami. Mieli oni jednak głównie za zadanie towarzyszyć poselstwu od granic Rzeczypospolitej i dbać o wygodę i zaprowiantowanie gości.

Przystawami byli przeważnie Ormianie, znający dobrze język i obyczaje krymskich przybyszów. Niejeden z przystawów robił dobre interesy pełniąc zaszczytną misję a zarazem nabijając sobie kiesę kosztem posłów. O przystawie Illiczu z czasów Władysława IV opowiadał, że spryciarz zgola głodził pozostałych pod jego opieką tatarskich dyptomatów. Nie dawał im więc mięsa, które sprzedawał na boku, tłumacząc Tatarom, że w Polsce właśnie obowiązuje w tym czasie Wielki Post i nie wypada gorszyć miejscowej ludności spożyciem niedozwolonych potraw. Tatarzy zaczęli utyskiwać, że post się przeciąga zbyt długo i wreszcie wnieśli na przystawę skargę.

Szczytem utrapienia władz polskich była dopiero chwila wyjazdu poselstwa tatarskiego z Rzeczypospolitej. Zgodnie z dawnym obowiązującym obyczajem należało ofiarować chanowi, członkom jego rodziny i wyższym dygnitarzom podarunki. Zlekceważenie tego zwyczaju groziło poważnymi komplikacjami. Zdarzyło się razu pewnego,



KŁOPOTY Z TATARAMI

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

że podarunki przeznaczone dla jednego z wyższych dygnitarzy krymskich Subchana Gaziiego zostały przez pomyłkę doręczone wezyrowi Seferowi Gaziemu. Skutek był ten, że poszkodowany Subchan zaczął intrygować na dworze baczysarajskim przeciwko przymierzu z Polską, a nawet werbować stronników, domagających się wojny z Lechistanem. Dopiero gdy specjalny poseł Rzeczypospolitej przyjechał z przeprosinami, a co ważniejsze — obdarował sowiec chytusa, Subchan zaniechał intryg i

zaprzysiął Polsce wieczną przyjaźń.

Niestety, zwykle wtedy gdy dyplomaci tatarscy szykowali się do odjazdu, okazywało się, że skarb Rzeczypospolitej świeci pustkami i brak pieniędzy na kupno podarunków. Pod pozorami staropolskiej gościnności blagano Tatarów o przedłużenie gościnny, co znowu pociągało za sobą koszty. Następnie zaczynały się poszukiwania kupców, którzy by pożyczili pieniądze lub dali na kredyt towaru na podarunki.

Rodzina kupiecka Orset-

kich zrobiła ponoć w XVII wieku niezłe interesy, udzielając tego rodzaju kredytów.

Najczęściej wysyłano do chana i wyższych dostojników krymskich wyroby złote, bursztyny, kosztowne materiały, mniejsze dygnitarzom i członkowie rodziny panującej otrzymywali sztuki różnego rodzaju tkanin, broń srebra! Z tego powodu szły z lub po prostu pieniądze. Często sami Tatarzy wskazywali w listach, co by chcieli otrzymać na prezent. Był to więc formalny haracz (słowo to pochodzi z tureckiego i arabskiego „haradz” czyli pogrówne, podatek płacony Wielkiej Porcie przez wszystkich pełnoletnich chrześcijan zamieszkałych w granicach ówczesnego państwa Otomańskiego; wyraz ten spolszczył się w czasie nieustannych wojen z Turcją i z Tatarami i oznaczał okup względnie kontrybucję wymuszaną po zdobyciu jakiegoś zamku lub miasta polskiego).

W rewanżu i dla zaskarbnienia sobie względów króla, polskiego przysyłałi Tatarzy ze

swej strony upominki — konie, siodła, części uprząży.

Kłopoty dyplomatyczne z podarunkami nie kończyły się jednak z wyjazdem poselstwa tatarskiego. Zdarzało się, że przez niedopatrznie trzeci syn chanski otrzymał gorzsy prezent niż — czwarti. A więc złamane zostały obowiązujące zasady dyplomatycznego savoir-vivre'u! Z tego powodu szły z Krymu listy z pewnego rodzaju reklamacjami, po czym — wyrównanie ze strony polskiej, a jeśli wyrównanie było niedostateczne — nowa seria reklamacji itd.

Podarunki jak i wielki haracz wysyłany Tatarom miały być gwarancją pokoju. Dopiero traktat kariowicki z r. 1699 wprowadził zmiany również w stosunkach z Tatarami i ku rozpacz krymskich wojowników strumień podarunków z Polski wysechł raz na zawsze.





Wanda Chwiakowska w sztuce „Nie igra się z miłością”

STANISŁAW KASZYŃSKI

Oczywiście „Nie igra się z miłością” w Teatrze Nowym. Nie chcę tu wiele pisać o autorze i sztuce, bo już wyręczył mnie z tego obowiązku Stanisław Bruz w swoim artykule wydrukowanym w programie. Nawiasem mówiąc, warto by kiedyś, o ile jest to do zrobienia przebadać, jaki procent widzów korzysta z tych lektur i co to ludziom w efekcie daje. Ale interesuje mnie i autor, dobrze notowany klasyk, a w związku z nim chciałoby się stawiać pytania zawsze na miejscu przy dawnych pisarzach. Więc jak dziś Musseta przyjmuje publiczność? Pokolenie starsze wykarmione na romantycznych pozwykach i myślące jeszcze kategoriami tej sztuki

le swej komedii, nagle odczułem zakłopotanie. Mój Boże, tyłu chłopców bryka po tym świecie, a ta koza tak głupio i nieefektywnie kończy! Po myślenie, ilu bohaterów z dawnej dramaturgii i literatury czmychało tą drogą do Elizjum, wywołując u widzów czy czytelników uczucie litości albo drwiny. Nie będę w tym miejscu przypominał o zmienności norm obyczajowych i konwencji, o płynnych pojęciach honoru i ambicji, pragnę co najwyżej dodać, że trudno uciec przed komedią życia, która z reguły okazuje się poważna. Jest coś osobliwego w tym, że zawsze chętnie rozważamy sobie banalne historie, choćbyśmy nawet znali i schemat i całą treść.

Barbara Horowianka (Kamilla) magnetyzuje nas od pierwszej sceny młodością i wdziękiem. Jej tekst mieni się mussetowskimi pięknociami, ale podaje go z tym nieuchwytnym wyrafinowaniem i doświadczeniem, które oferuje nam dziewczęta z piwnic i „Honoratki”. Horowianka jest mussetowska i dziewiętnastowieczna, kiedy namierność powstrzymuje ją od wyznań, jest nowoczesna i wyzwolona, kiedy nakazy moralne łamie w objęciach kochanka, w całej intrydze i grze miłosnej. Czy to trudno pokazać? Nie wiem. Oktaw (M. Pawlicki) gra również może nawet z przesadą, współczesnego, chłopca w romantycznym kostiumie, znudzonego, zbłaźnionego, cynicznego, ale jakby zapomniawszy o sobie i o miarę rozwoju akcji, odstaje

KONIECZNIE ZOBACZCIE!

ki, średnia generacja, która przeżyła na ławie szkolnej piekło uniesień, a w życiu wniosła odpowiednią korekturę, wreszcie ci nowocześni brodacze z piwnic, cynicy i zbuntowani, poszukujący nowego sensu egzystencji? Konkretyzacja sztuki jest trudnym i skomplikowanym zagadnieniem i wizja spektaklu układa się w niezliczone szeregi ocen, sądów i aluzji. Jedno jest pewne. Otóż nikt nie jest skłonny brać na serio tego, co się dzieje w teatrze. A jednak często lubimy zauważyć, że ów fakt jest nieprawdopodobny, to zdarzenie urąga zdrowemu rozsądkowi a ta scena traci dziś myślnik. Kiedy Rozalka umiera z żalu po stracie kochanka, a Musset jej doświadczenie umieszcza jako przestrożę w tytu-

Co zrobiono w Teatrze Nowym z opowieścią miłosną o Kamilli i Oktawie? Przede wszystkim zadbano o zabawę i nie spreparowano sztuki wedle założeń dydaktycznego pouczenia. Musset nie był moralistą, jakkolwiek jego formacja intelektualna wysoko sobie ceniła cnotę. Trawestując Hamleta, można by powiedzieć, że wpatlił o wszystkim poza miłością. Stąd chyba Saint-Beuve widział w nim wcielenie Don Juana. Jerzy Antczak jako reżyser pamiętał o tym wszystkim, ale nie pozwolił swoim aktorom w pełni zakosztować niebezpiecznych trucizn romantycznego tekstu. Bardzo podobał mi się ten sejszony dyskretnie ton spektaklu, tłumienie efektownych tyrad i jakiś półseptyczny sposób rozgrywania miłosnych scen przy zachowaniu finezji i romantycznej ironii. Ta niejako racjonalizacja wypowiedzi aktorskiej wydaje mi się dużym osiągnięciem, dzięki czemu zneutralizowano trochę już nieznośny, egzaltowany tok zdania i kadencji.

od tekstu. A przecież Musset stworzył w tej komedii urzekającą parę kochanków i coś z tego klimatu powinno jednak zostać i w geście i w intonacji.

Jak wiadomo, wątek komediowy, tradycyjny i nawiązany, ma dość luźny związek z głównym nurtem sztuki, dlatego łatwo tu o nadmierne rozbudowania zabawnych epizodów, o farsowość. Antczak znalazł odpowiednią proporcję, w czym mu pomogli doskonale odtwórcy Barona (G. Lutkiewicz), Pluche (B. Rachwałska), Blazjusza (E. Wichura) i Bridaine'a (B. Baer). Sentyment nie dozwalał mi tu wyróżnić nikogo z tego przemiłego kwartetu, choć rozsądek szeptem, aby dodatkowym zdaniem skwitować Barona. Lutkiewicz zgrabnie przyłapał lekkość i polot francuskiego bon-viveura. Część pochwał spadła tu na autora piosenek J. Słowikowskiego (muz. H. Piotrowski), którego tekstem recenzent wróży znakomitą przyszłość.

BRONISŁAW URBĄSKI

Dwa pamiętniki

Coś z bohemy i... walki klas

Wydawnictwo Łódzkie podjęło cenną inicjatywę wzbogacenia wiedzy o Łódź, Estetyczna i eksponująca w tytule „miłość” okładka, jak żartobliwa obwolota zalecająca ongiś przetłumaczoną przez Boya „Rozprawę o metodzie” Kartezjusza jako rzecz tylko dla dorosłych, przyciągnie zapewne czytelników. I nie jest chyba źle, że między tomy Dumasa, klasyka sensacyjnego romansu historycznego, wplecie się lektura łódzkiego literata. Ze względu na czytelników byłoby może nawet lepiej, gdyby rzecz ukazała się w którymś z łódzkich dzienników, np. w „Expressie”. Rozszerzyłyby to ich krąg.

Trzeba zresztą przyznać, że książka Timofiejewa cieszy się dużą poczytnością. Nie jest dziś rzeczą łatwą znaleźć jej egzemplarz w łódzkich księgarniach. Notujemy więc zjawisko dość rzadkie, jeśli chodzi o współczesną literaturę polską. Przyczyny powodzenia u czytelnika? Myślę, że jest ich kilka, a nie wszakże wydają mi się najważniejsze.

Nie zawsze zwycięża w książce temat choćby najbardziej frapujący. We wspom-

strością obserwacji. Obok nieszkodliwego, na przeciętną miarę egotyizmu jest w tej książce wiele dobroduszości, która marksistcko-indywidualiście i łódzkiemu Tyrtejo wi pozwala ukazać przeszłość w generalnym ujęciu, w którym, obok dramatycznych i groźnych spraw środowiska, egzystuje na tych samych prawach Józefowski, „człowiek kulturalny, miłośnik poezji i w ogóle opiekun łódzkich sztuk”. A przecież chodzi tu o człowieka powiedzmy skromnie skomplikowanego. Trzeba też przyznać, że autor nie przeciążył swej książki nadmiarem postaci, ale nie ograniczył się do własnej osoby. Kto nie czytał „Prądów”, „Wymiarów” i innych łódzkich publikacji lub nie wie o ludziach z nimi związanych — znajdzie w Timofiejewie związek przewodnika. Szkoda tylko, że postawę człowieka z ulicy, przeżywającego, rozumiejącego dramatyczną przeszłość na swoją miarę przyćmiewa bogata indywidualność poety. Może to zwiść przyszłego biografę, nawet zdefiniować obraz Łodzi.

Może tym wszakże zajmą się ci, którzy chcą pisać o Łodzi krzyczącymi kontrastami społecznych, o dziwnym układzie stosunków narodowościowych i kulturalnych, o zrażeniu fizycznej i upodleniu moralnym, o przedziwnych społecznikach z prawdziwego zdarzenia i ludziach sztuki uwikłanych w spory z tamtych lat.

*) Grzegorz Timofiejew: „Miłość nie zna zmęczenia”. Wydawnictwo Łódzkie 1959.

Pani Zembrzuska i jej mąż Nagórski

Wasyłewski, syn inżyniera kolejowego w b. Galicji i Lodomerii, mimo zaprzeczeń, mimo podkreślenia ludowego brzmienia nazwiska i eksponowania wszystkich postępowych tradycji rodziny — żył w środowisku znajdującym się pod naciskiem szlachetczyzny. W tradycji rodzinnej pociąga go jako pamiętnikarza to, co szlachetkie, ale przede wszystkim w antenach „po kądzieli”, bo też przeszłość „po mieczu” jest demokratycznie ku sa. Pociąga go też każda indywidualność wyrazista, barwna, odcinająca się od otoczenia. A jego umiejętność opowiadania, przekazania w swobodnej gawędzie niepowtarzalnego uroku czy cech

Druga przyczyna poczytności książki bardziej jest dyskusyjna.

Timofiejew ma niewątpliwie godny podziwu dar dostrzeżenia się do czytelnika, umiejętność niedrażnienia go swobodną gawędą niepo-

spotkanej osobowości lub znamiennego faktu — nie podlega wątpliwości. Umie przy tym Wasyłewski wstrzymać się od sentymentalnego wspomnienia z leżką. Bywał w życiu i jest w pamiętniku niekiedy drapieżny i złośliwy. W życiu bywał złośliwy z fantazji intelektualnej, co mu jednako skrytych i zaciętych wrogów. W pamiętniku jest to rezultat intelektualnej ciekawości i instynktownego wycucia komplikacji życia wikłającego się wśród wzniosłości i śmieszności, heroizmu i niepodradności, ofiarstwa i małostkowości, życia nieoczekiwane sprzągającego ludzi różnych postaw i różnych celów.

Temu zapewne zawdzięczamy i portreciki ziemiaństwa klasy dożywającej swych dni w okresie dwudziestolecia, i fascynującą rzecz o pani Zembrzuskiej i jej mężu Nagórskim, których losy w osobliwy i mało budujący dla wyznawców sposób zajął się na terenie Poznania z losami proroka i przywódcy Narodowej Demokracji — Dmowskiego. Czy kapitalne szczegóły o Radziwiłłach lub Maykowskim podczas ostatniej wojny.

Wbrew sugestii, jaka mogłaby powstać — nie ziemia nie przeważają jednak w tłumie postaci, które prezentuje



nam autor. Pasje intelektualne dość wcześnie pełniły Wasyłewskiego ku ludziom nauki i pióra, by mógł zorientować się, że szlachetczyzna — to tylko przeszłość i że godniejsze uwagi są postaci uczonej i pisarzy — nawet w anegdotycznej wersji.

A osobowość pisarza? Przejawia się nieustannie, ale nie natrętnie na kartach książki. Gdy Wasyłewski mówi bezpośrednio o sobie i swych sukcesach, mówi raczej powściągliwie. Nastawiony jest na to, co dostrzeżać na zewnątrz, nie przez jego własną osobę przedmiot zyskuje na ważności.

Także i przez to, że jest w niej coś jakby refleksy przykładowego rodowodu Cezaręgo Baryki. Jakby odnosiło się do inicjatora to, co pisał Żeromski.

„Nie chodzi tutaj — u kądziela! — o herb, ani o szeregi przodków podgolonych, z sarmackimi wąsami i przy karabelach, — ani o wydekoltowane prababki w fiokach. Ojciec i matka — otóż i cały rodowód jak to jest u nas, w dziejach nowoczesnych ludzi bez wczoraj. Z konieczności wzmianka o jednym dziadku, z musu notatka o jednym jedynym pradziadku”.

Stanisław Wasyłewski: Czterdzieści lat powodzenia Ossolineum 1959.



str 8 odgłosy

Przez porty świata • Przez porty świata • Przez porty

Nocą opuszczamy Bangkok. Który to już raz w czasie tego rejsu klnę jak przysłowiowy szewc? Znowu wbrew własnej woli muszę opuścić kraj, w którym lada dzień musi rozegrać się finał walki o władzę między policją i wojskiem. Czołgi, wozy pancerne i karabiny maszynowe dalej tarasują ulice — a więc rozgrywka jest nie zakończona. Trudno. Znowu będę śledził dalszy bieg wydarzeń tylko na podstawie gazet i radia.

Płyniemy Bangkok River w kierunku Zatoki Szyamskiej. Zdradliwa i pełna niebezpieczeństw jest ta wartka, rwąca śródlądowa koczownicza rzeka. Płynąc wkrótce po nas polski dziesięciotysięcznik „Bolesław Bierut” wpakował się dziobem w nieregularny urwisty brzeg. Przyczyną zresztą trzeba, że statek ten miał w ogóle wyjątkowo pechowy rejs. Awarie, sztormy, zderzenie a wszystko to zakończyło w kilka miesięcy potem śmiercią kapitana statku na atak serca, gdy statek znajdował się na Morzu Południowo-Chińskim.

WYBUCHY

My mamy jakoś więcej szczęścia. Mimo to atmosfera na statku jest coraz bardziej nerwowa, nastroje ponure. Rejs trwa już trzeci miesiąc. W kilku kolejnych portach nie dostaliśmy listów z kraju. A to na statku jest sprawą najważniejszą. Kiepska pogoda od dłuższego czasu uniemożliwia także radio-telegraficzne połączenie z krajem. Wybuchają pierwsze sprzeczki osobiste. Tak — właśnie wybuchają. Bo jak dotąd, chodzi o sprawy małe, blade, takie, które dziś z perspektywy kilku miesięcy wydają mi się wręcz żenująco płaskie, ba, śmieszne. A jednak wtedy ja sam także uznawałem ich „wagę”, sam w jakiś sposób angażowałem się w nie... Piszę o tym i dostrzegam jak trudno mi wyjaśnić na czym to polega. To nie temat do reportażu, ale za to przedmiot pasjonujących badań dla socjologów, psychologów, pisarzy, filmowców. Wyobraźcie sobie pięćdziesięciu kilku mężczyzn przez wiele miesięcy skazanych na przebywanie w tym samym miejscu, bez żadnej możliwości zmiany tego stanu. A do tego gwałtowne zmiany klimatu, męcząca nostalgia, kolosalnie różni ludzie, różne doświadczenia życiowe, poziom kulturowy wykształcenia...

Są tu młodzi chłopcy, których całe doświadczenie życiowe to portowe knajpy i kiepska literatura. Ci są cyniczni, zarozumiali, ich sądy o kobietach są wulgarnie, szablonowe. Kiedyś w messie byłem świadkiem wynurzeń takiego młokosa. Słuchało go między innymi kilku starszych marynarzy, doświadczonych, takich o których mówił się, że z niejednego pieca chleb jedli. W pewnym momencie jeden z nich przerwał cyniczne wynurzenia młokosa:

— Gówniarz jesteście! Wiadomo, z jakimi kobietami miałeś detąd do czynienia. I wtedy dopiero zaczęła się dyskusja. Spod manifestacyjnego cynizmu młokosa wyrzwały sprawy trudniejsze i bardziej skomplikowane...

— Taki pan mądry — mówił do adwersarza — pewnie, że wiadomo. A jak ma być inaczej? Ile trwał nasz poprzedni rejs? Sześć miesięcy? Tak? A ile potrwa ten? Sześć, siedem miesięcy? A ile w międzyczasie byliśmy w kraju? Jedenaście dni. No to co mam robić? Może się żenić? Zostawiać potem żonkę w kra-

ju po to, żeby w ciągu paru lat widzieć ją w sumie dwa-trzy miesiące i tak jak niektórzy ze zdenerwowaniem czekać listu — „zdradza cię żonka czy nie zdradza”. Albo jak niektórzy przyjeżdżać do kraju, robić bachora i hajda znowu na morze... Człowiek przyjeżdża do kraju, to wszyscy a jakże z zazdrością: marynarz... zarabia... świat ogląda... „mewki” się kręcą... No i ilu naszych z takimi „mewkami” się pożeniło. A potem tragedia jeden z drugim wycyznia, że go kobieta zdradziła. Co ma robić jak chłopca przez parę dni w roku ogląda... Pamiętasz pan tego pierwszego mechanika co wdrapał się na maszt i skooczył na pokład? Trup na miejscu. A wiesz pan jak to było? No właśnie...

I toczą się takie rozmowy, od których ludzie wstają jeszcze bardziej markotni. Nerwowo obliczają, na kiedy mogą być w kraju, nerwo-

Republiki Demokratycznej — Hajfongu. Tymczasem z mostku kapitańskiego przychodził niewesoła wiadomość.

Trafiliśmy na bardzo silny prąd przeciwny. Przewrotna szybkość spadła z 17 węzłów do dziesięciu. Wejść do portu w Hajfongu statek taki jak nasz może tylko w czasie tzw. „wysokiej wody”. W związku z gwałtownym spadkiem szybkości, istnieje obawa, że spóźnimy się. Następną wysoka woda będzie dopiero po ośmiu dniach. A więc znowu rejs się przedłuża. Ośmioldniowe czekanie w morzu na wejście do portu nie należy, szczególnie w tym klimacie, do przyjemności.

Po sześciu dniach, około dziewiętej rano wpływamy na reed Hajfongu. Tym razem czeka nas miłe rozczarowanie. Zostajemy wprowadzeni do portu. Musimy tylko maksymalnie skrócić postój, aby zdążyć odplynąć

skiej delegacji do komisji rozjemczej poznałem Gao Linga. Gao Ling jest żołnierzem, choć chodzi w takim samym drellichu jak tysiące innych mieszkańców miasta. Ma dopiero 24 lata a życiorys?

Służba wojskowa nigdy nie była w Wietnamie popularna, a naród wietnamski nigdy nie słynał z wojowniczości. Osiemnastoletnia poetka wietnamska pisała w słynnym „Lamen-cie żony wojownika” (Chinh -Phu-Ngam).

„Na wielkim murze bębny biją na alarm, siejąc panikę w sercach, tylko księżyc niewzruszony spogląda przez liście. Dym barwy krwi unosi się, przebijają błady pulap nocy, wije się — złowroga żmija, złowrogi sygnał, Och tak. Skończyły się lata pokoju! Wojenny los nas czeka! Znowu trzeba przywdziać zbroję, pożegnać rodzinę i iść na pastwę jesiennej wichury.

gen. Valluy następną depeszę:

„Wszystkimi środkami jakie pan ma do dyspozycji, winien pan zawiadnąć Hajfongiem całkowicie i zmusić rząd i armię do uznania swej winy”.

Z rana 23 listopada płk. Debes wysłał do władz wietnamskich w Hajfongu ultimatum, artyleria morska bombarduje miasto, zabijając około 6 tys. osób... Jednocześnie wojska francuskie w Hanoi atakują wietnamskie gmachy rządowe...

Te wypadki nie mogły rządowi wietnamskiemu pozostawić żadnych wątpliwości co do zamiarów francuskich... Wkrótce Francuzi żądają od Wietnamu wydania sprzętu wojennego i poddania się. Słynna odpowiedź Ho-Chi-Mincha brzmi: „W UNI FRANCUSKIEJ NIE MA MIEJSCA DLA NIKCZEMNIKÓW, BYŁBYM NIM, GDYBYM SIĘ ZGODZIŁ NA TO”.

mych strasznych przeżyciach jakie niesie z sobą wojna pod każdą szerokością geograficzną. Kiedy w zaciśniętym mieszkaniu w Warszawie czytałem depesze o wojnie wietnamskiej wszystko to było jakies nie-realne i odległe. Dopiero teraz... Jednak łatwo człowiek zapomina o własnych doświadczeniach.

Jak teraz wyglądają zarobki? — Kiepsko — jeszcze kiepsko — mówi Gao Ling. Ale już nikt nie umiera z głodu. Jemy na ogół minimum dwa razy dziennie. Zarobki wahają się w granicach 30—60 tysięcy dingo, co staroza oczywiście tylko na zakup rzeczy absolutnie niezbędnych. Do tego dochodzi deputat żywnościowy. Dla ciebie — mówi — to pewnie się nazwie wędza, ale dla nas i dla tych, co wiedzą, jak żyliśmy to bardzo, bardzo dużo. Zresztą — przyjeżdż do nas koniecznie jeszcze za parę lat, a zobaczysz jak będzie... Wasz statek przywiózł nam traktory, maszyny, urządzenia przemysłowe...

Od Gao Linga dowiedziałem się także pewnej ciekawej historii: Gdzieś około roku 1951 polski oficer, który służbowo przebywał w Berlinie wschodnim przeszedł do Berlina zachodniego i poprosił o azyl. Ale niebýt mu się tam chyba widło a może podlegała go „wielka przygoda” — doświadczył jako żołnierz Legii Cudzoziemskiej wkrótce znalazł się w Wietnamie. Musiał przeżyć duże rozczarowanie skoro po krótkim pobycie w Legii zdecydował i sam oddał się do niewoli wojskom ludowym. Znając jednak doskonale język niemiecki i bojąc się konsekwencji, jakie mogą wynikać ze stwierdzenia jego tożsamości, nie przyznawał się że jest Polakiem. Po odzyskaniu wolności ożenił się z Wietnamką i postanowił osiąść na stałe w Wietnamie. Zgłosił się jednak do polskiego konsulatu i opowiedział o swej przeszłości. Władze polskie postanowiły darować mu winy i nie zażądały ekstradycji. Były polski oficer jest dziś cenionym fachowcem i wraz z żoną i dziećmi mieszka w Hanoi.



wo podążają do kabiny radio-oficera i ómiąg papierosa lub fajkę pośród pisków w eterze, czekają, aby zamienić kilka słów z bliskimi. Rozmowa, która przecież nikogo nie uspokaja polega bowiem na wzajemnym przekrzykiwaniu pisków, trzasków, różnorodnych rozmów prowadzonych na wszystkich morzach świata...

Wybaczcie Czytelnicy tę osobistą dygresję. Ale powiem prawdę, że kiedy po przyjeździe do kraju zapytano mnie o najsilniejsze przeżycie, największe wrażenie — odpowiedziałem — STATEK. Spośród ponad dwudziestu krajów, jakie widziałem w tym rejsie, wielu portów i wielu dziwów — życie ludzi na statku zrobiło na mnie najsilniejsze wrażenie.

BYŁE SZYBCIEJ

Najbardziej zdenerwowany obecnie jest asystent elektryka. Oczekuje wiadomości o urodzeniu dziecka. To ma być pierworodne. Zdenerwowanie jest więc tym większe. Każdy z nas chowa gdzieś tam jakąś buteleczkę „czegoś dobrego” — trzeba bowiem będzie iść do Antosia i gratulacjami. Ale połączenia z krajem ciągle brak...

Jesteśmy już na Morzu Południowo-Chińskim, opływamy Półwysep Indochiński kierując się do naszego portu Wietnamskiej

zanim opadnie woda. Cieszymy się także z jeszcze jednego powodu. Do niedawna cały pokład załadowany był potwornie cuchnącym na cały statek kwasem solnym i traktorami. Kwas solny wyladowaliśmy w Bangkoku, traktory wyladowujemy właśnie w Hajfongu. Będzie gdzie spacerować. Pokład opustoszeje.

W porcie stoi czeski statek, pływa na nim paru polskich marynarzy. Przybiegają do nas uradowani ze spotkania rodaków, stęsknieni za polskimi papierośkami, polską wódką i polskim zarciem. Idziemy razem do miasta.

Pierwszymi spotkanymi cudzoziemcami okazują się Hiszpanie. Walczyli w Legii Cudzoziemskiej przeciwko wojskom demokratycznym. Dostali się do niewoli. Teraz są już wolni. Pracują w jakiejś kopalni. Sami nie bardzo wiedzą co z sobą zrobić. Idziemy w kierunku śródmieścia. Miasto jest bardzo czyste, dość ruchliwe. Sporo prywatnych sklepików, knajpek. Przechodnie pubierani w standardowe drelliche, ale nie widać zebraków ani obdartych — widok w kapitalistycznej Azji powszedni. Stosunek przechodniów do cudzoziemców przychylny, pełen uśmiechu.

WOJENNY LOS NAS CZEKA

Kiedy błądziłem nie mogąc znaleźć siedziby pol-

Rzeka płynie, rzeka nie spłucze bólu. Trawa pachnie, trawa nie ulży sercu”.

Skończyły się lata pokoju. A trwały w Wietnamie krótko. Zaledwie w sierpniu 1945 roku zakończyła się okupacja japońska. Potem zaczęły się pertraktacje z Francją na temat odzyskania przez Wietnam po 80 latach niepodległości. Nie sposób w krótkich słowach opisać manewrów i krętań strony francuskiej.

Jednak w czerwcu 1946 roku prezydent Ho-Chi-Minh ląduje w Paryżu serdecznie witany przez Georges Bidault jako przewodniczący delegacji wietnamskiej na rokowania w Fontainebleau. Po wielu wydarzeniach, Francja formalnie uznaje niepodległość Wietnamskiej Republiki Demokratycznej, która pozostała ma w Unii Francuskiej.

Formalnie uznaje... Ale oto kiedy francuskie władze celne w Hajfongu usiłują 19 listopada zrewidować dżonkę chińską, dochodzi do wymiany strzałów. Naczelne dowództwo francuskie natychmiast korzysta z okazji...

Generał Valluy telegrafuje z Sajgonu 21 listopada do pułkownika Debesa. „W związku z wypadkami w Hajfongu, uważam za niezbędne wykorzystanie ich do wzmożenia naszej sytuacji w Hajfongu”.

A 22 listopada wieczorem płk. Debes otrzymuje od

GAO LING — CZYLI ŻYCIORYS PATETYCZNY

Tak oto sprawdzili się słowa osiemnastowiecznej poetki.

Gao Ling miał wtedy kilkanaście lat i już wtedy rozpoczął życie partyzanta a potem żołnierza Wietnamskiej Armii Wyzwolenczej. Brał udział w ewakuacji do dżungli wielkich fabryk, które przeniesione z miast rozpoczęły produkcję w dzikiej dżungli. Na piersi młodego mężczyzny widać baretki najwyższych odznaczeń wojskowych. Był już oficerem pod Dien-Bien-Fu, gdy nastąpił pokój genewski.

To dziwne, kiedy w polozonym o tysiące kilometrów Hajfongu odnajduje się w rozmowie sprawy tak podobne do naszych przeżyć sprzed kilkunastu laty. Coś, co patetycznie nazwać by można życiorysem, kształtowanym przez historię.

Gao Ling opowiada mi o Hajfongu. „Popatrz — mówi — ta ulica leżała zupełnie w gruzach. A tu — wskazuje w drugim kierunku — został skierowany skomasowany ogień francuskiej artylerii, popatrz teraz na prawo, tu kiedy całe miasto było już w rękach Francuzów grupka naszych bronila się jeszcze kilka dni, wszyscy spalili się...”

Kiedy słucham tych spokojnie wygłaszanych objaśnień nasuwa mi się jakże banalna a jednak wstrząsająca refleksja o tych sa-

SĄ TAKIE PORTY

Hajfong jest chyba pierwszym portem w czasie mej podróży pozbawionym całkowicie wszelkich atrybutów portowych miast. A więc zupełnie nie istnieje tu prostytucja. Zilkwidowano słynne kiedyś na cały świat domy publiczne i palarnie opium.

Późnym wieczorem wracam na statek. Przyjechali właśnie przedstawiciele Ambasady Polskiej i członkowie polskiej delegacji do komisji rozjemczej. Wśród nich — budzi ogólne zainteresowanie kobieta — tłumacz. To pierwsza biała kobieta, którą widzimy od dawna i do tego Polka. To też wszyscy robią co mogą aby jej asystować... Ale wszystko co przyjemne ma swój koniec. Załadunek i wyładunek statku został zakończony. Musimy szybko opuszczać port bo „wysoka woda”... Przed nami Kanton... Chiny południowe. Zbliżamy się powoli do strefy działań wojennych. Radio podaje, że w rejonie Tajwanu toczą się coraz bardziej zacięte walki...

*) Przypominamy, że autor drukowanego na naszych łamach cyklu odbył rejs na dziesięciotysięczniku „Generał Sikorski” w roku ubiegłym.

(red.)



MARIA KORNATOWSKA

Neapol contra SOPHIA LOREN

Więć o powrocie Sofii Loren do Włoch zelektryzowała mieszkańców tej krainy. Zośka przyjechała „kręcić” amerykański film reż. Shavelsona pt. „Zatoka Neapolitańska” obok tej miary partnerów co Clark Gable, Desica i Modugno. Życie i kariera głośnej gwiazdy łączy się dosyć ściśle z Neapolem. Nic zatem dziwnego, że obywatele lazururowego grodu z niecierpliwością oczekiwali przyjazdu tej, której od dawna i niepodzielnie oddali swe serca. Czego się jednak można spodziewać po Amerykanach? Reżyser Shavelson doszedł do wniosku, że między Neapolem a Neapolem nie ma istotnych różnic i że wobec tego plenery filmu o Neapolu śmiało można kręcić w Rzymie. Oburzenie mieszkańców Neapolu nie ma granic. Jak to? Film o nich bez nich? Czyż ten stary i bezbarwny Rzym ze swoją brudną rzeką może dać wyobrażenie o ich błękitno-złotym, skąpanym w blaskach słońca i rozświetlonym mieście? A ci ponuracy znad Tybru mają uchościć na ekranie za oryginalnych neapolitańczyków? Skandal, po trzykroć skandall! No i ta zdradziła Zośka. Jak mogła zapomnieć o swych najgorętszych wielbicielach? Piękniejsza połowa neapolitańczyków nie podzielała oburzenia swych mężów, braci i kochanków, uważając słusznie, że obecność pięknej i sławnej konkurentki nikomu jeszcze na dobre nie wyszła. I miały biedaczki rację. Bo jak tylko się okazało, że So-

fia wybiera się wraz z całą ekipą na Capri, neapolitańczycy zapomnieli o urażonym honorze i zaczęli czynić uroczyste przygotowania. Tego już było za wiele. W przeddzień przyjazdu Sofii na Capri, w miejscowej prasie ukazał się list otwarty kobiet Neapolu. „Wobec pani sytuacji małżeńskiej — pisali czcigodne damy — będącej policzkiem rzuconym prawu moralności, żądamy by nie pokazywała się pani w miejscach publicznych. Pani obecność tu jest skandalem”. Mimo humorystycznych pozorów sytuacja aktorki jest rzeczywiście niewesoła. Prawo włoskie nie uznaje rozstępowania, zatem małżeństwo jej jest nieważne. Wobec prawa C. Ponti jest bigamistą, a Sofia tylko jego kochanką i współniczką przestępstwa. Grozi im od roku do 5 lat więzienia. Na razie jednak władze milczą. Sofia zaś jest pełna odwagi i nadziei. „Carlo jest jedynym mężczyzną mojego życia — oświadczyła dziennikarzom. — To ja pragnęłam tego związku. Przy nim czuję się pewnie i spokojnie. A ponieważ wierzymy wzajemnie w naszą miłość, znieśliśmy pogodnie wszelkie jej konsekwencje. Jedno jest pewne — dodaje na zakończenie — Carlo i ja nie rozstaniemy się nigdy. Gdyby powiedziano mi, że za cenę zerwania z nim zostanę największą aktorką świata — i wówczas nie zgodziłabym się odejść od niego.



ALEKSANDER NIESMIAŁEK

„Ostatnie 5 minut” i „Ani widu, ani słychu”

Popularny Vittorio de Sica znany jest nie tylko jako twórca dzieł filmowych tej klasy co „Dzieci ulicy” czy „Cud w Mediolanie”. Od dawna występuje on jako aktor w dość okazałej ilości filmów, w tym Centrala Wynajmu Filmów postanowiła nam o tym przypomnieć zakupując film „Ostatnie 5 minut”. Niestety, trafiła źle, ponieważ wzmiankowany film należy chyba już nie do B-kategorii w jakiej oglądaliśmy aktora, a raczej do C, a może i dalszych liter alfabety.

Scenariusz „Ostatnich 5 minut” jest adaptacją sztuki Aldo de Benedettiego. Nie znam sztuki, być może grana na scenie potrafi ona widzów zainteresować i zabawić. W filmie (reżyserii Giuseppe Amato) wygląda to niezbyt interesująco i mało zabawnie. Połowa filmu opiera się na dialogach i zrealizowana została metodą zwykłej ekranizacji. Prawie że nieruchoma kamera rejestruje na taśmie parę głównych bohaterów i prowadzone przez nich dialogi, które po pięciu minutach wystarczyć mogą każdemu. Konwencja filmowa ustępuje konwencji teatralnej. I znowu — być może na scenie, dialog ten byłby pełen finezji, komediowych dwuznaczności i niedopowiedzeń, ale w filmowej adaptacji i polskim tłumaczeniu.

Ech, iza się kręci w oku,

ale trudno. Sympatyczny Vittorio de Sica robiąc co w jego mocy, nie może jednak uratować filmu zrealizowanego bez najmniejszej inwencji twórczej i ambicji.

Pozostając przy głosie na temat komedii filmowej, pragnę zawiadomić naszych Czytelników, że godną obelżenia jest za to francuska groteska filmowa „Ani widu, ani słychu”. Reżyser Yves Robert potrafił rozśmieszyć i zainteresować publiczność co prawda starymi, ale świeżymi w wykonaniu gagami, dobrym tempem, udaną ilustracją muzyczną. Osobny rozdział stanowi główna rola w wykonaniu Louisa de Funesa, którego oglądaliśmy do tej pory w epizodach dość licznych filmów francuskich.

W sumie, lepsze to „Ani widu, ani słychu” niż mdłe i nudne „Ostatnie 5 minut”, które niestety wlecz się przez okrągłe półtorej godziny.

2 / 2
Filmy / Zamiaty

Filmy dzielą się na dobre, złe, i takie, o których nikt jeszcze słowa nie napisał. Widziałem ostatnio dwa filmy najnowszej produkcji polskiej, jeden zdecydowanie dobry, nawet bardzo dobry, a drugi zdecydowanie zły. O obu nikt jeszcze nie napisał. Jeśli jednak filmy złe podzielić można z kolei na nijakie, czyli obojętne (to najliczniejsza reszta grupa) i inne, które potrafią obudzić w widzu niskie instynkty, zmusić go do ziewania, wydawania okrzyków względnie popadania w stan furii, to właśnie „Cafe pod Minogą” należy do tej ostatniej kategorii. A przypomnieć trzeba, że kategoria ta ma u nas swoją tradycję i własną klasykę także. „Cafe pod Minogą” przywodzi na myśl to i owo z filmów przedwojennych, nawet oprawa plastyczna znalazła się tu na wysokości zadania i tworzy nierozdzielalną jakość wespół z reżyserią, montażem i udźwiękowieniem rzeczy. Od czasu niezapomnianej „Kariery” nie mieliśmy tak bezmyślnie a konsekwentnie poczętego filmu.

Natomiast najnowszy film reżyserii Andrzeja Munka, „Zezowate szczęście” przeszedł oczekiwania sprawodawcy. Znając scenariusz można się było spodziewać zobaczenia dość zwyczajnych perypetii bohatera filmu, Piszczyka, tyle tylko, że w interpretacji Bogumiła Kobieli. Tymczasem perypetie Piszczyka posłużyły Munkowi za kanwę i jak w podręczniku reżyserii scenariusz stworzył jedynie sytuację wyjściową. Powstała pierwsza polska komedia filozoficzna. Inaczej chyba nie można określić tego naprawdę nieprzeciętnego filmu.

„Zezowate szczęście” to film jednolity od początku do końca. Znajdujemy tu jednolitość stylistyczną jakiej nie doszukalibyśmy się w żadnym z najlepszych filmów polskich. Każda kolejna sekwencja „Zezowatego szczęścia”, choćby pod względem technicznym różniła się od poprzednich, ma jednak wciąż ten sam nastrój podszytej szyderstwem groteski. Nastrój filmu który jest smutny i wesoły, ale przede wszystkim liryczny. Piszczyk jest odpowiednikiem Piotra Plaksina. Plaksinowa nieumiejętność gry na klarnej to Piszczykowa nieumiejętność życia, jednakowa „główna przyczyna dramatu”.

Wiadomo z rozlicznych odkryć i enuncjacji, że Andrzej Munk robi swoje filmy z charakterystycznym przymrużeniem oka. „Zezowate szczęście”, to film — wśród tych filmów — najlepszy.

Opowieść o Piszczyku pojawia się w chwili, gdy dopiero co pp. krytycy zdążyli podsumować dyskusję nad zagadnieniem istnienia względnie nieistnienia (do porozumienia jakoś nie doszło) tzw. „polskiej szkoły filmowej”. Nie ulega wątpliwości, że „Zezowate szczęście” spowoduje nowe medytacje. Dobrze więc, że pojawia się równocześnie „Cafe pod Minogą”. Jest przynajmniej rękojmią, że pp. skorzy do uogólnień — tym razem nie popadną w przesadę.

Ale zniechęcając się nad „Cafe pod Minogą” jest czynnością łatwą, zbyteczną, a po trzecim akcie niesprawiedliwości w stosunku do filmu, który dostarczył może nie byle jakiej rozrywki. Dość powiedzieć, że zamieszanie które panuje na ekranie jest tak znaczne, że aż p. Skoczylas, występujący w roli warszawiaka o przezwisku „Szmaja” (czyli mańkut), wszystko co trzeba i nie trzeba robi mimochodem prawą ręką. Poza tym bohaterowie filmu Broko-Wiecha piją na umór. Piją jak w SPATIFIE warszawskim (dużo) i jak w łódzkim (bez przerwy), piją jak dotąd w żadnym polskim filmie nie pili (choć jak wiadomo filmy polskie nieraz już były za te i owe rzeczy potępiane w czambuł przez periodyk pt. „Trzeźwość”). Piją, ale trudno im się dziwić. Piją — bo najpewniej nie otrzymali od reżysera i scenarzysty ściśle określonych zadań. Piją więc trochę z rozpacz, a trochę dla zabicia czasu.

EDWARD ETLER



May Britt

HORACY SAFRIN

W moim rodzinnym mieście

Humoreski z tomu *Przypowieści, bajek i fraszek „Mucha na cokole”*, który ukazuje się w najbliższych dniach nakładem Wydawnictwa Łódzkiego

„Gurahumora“

Mgr Alojzy Szolc — nie ubijając w naszym wiedzianym farmaceutycznym — był pigularzem w najlepszym tego słowa znaczeniu. Jego apłeka „Pod czarnym orłem” stanowiąca nie tylko źródło zakupu aspiryny, ojektu rycynusowego, kropel walerianowych i destylowanej wody, lecz była zarazem prawdziwą kopainią wynalazków — różnycen mikstur i preparatów ziołowych, przyrządzanych przez jej pomyslowego właściciela.

Sam pan Szolc nie skąpił swoim klientom fachowych porad, których wachlarz obejmował najszerszy zasięg niedomagań i bakcyli chorobotwórczych, poczynając od biegunki, skończywszy na niemocy płciowej.

Ale aptekarz nie ograniczał się bynajmniej do propagandy ustnej. Od czasu do czasu ukazywały się w naszym rodzinnym tygodniku „Dzwon” zgrabne dwuwersze w rodzaju:

„Ziółka Alojzego Szolca gwarantują lekkość stolca“.

Te pouczające epigramaty świadczyły o tym, że pan Alojzy czuł się w krainie Muz nie mniej swobodnie, niż w królestwie butelek i słoików.

Mimo wszystko, przez długi czas cieszył się raczej lokalną sławą. Famy i rozgłosu, jak Polska długa i szeroka, przysporzył mu dopiero genialny wynalazek — krem przeciw piegom „Gurahumora”, reklamowany na łamach prawie wszystkich pism stołecznych i prowincjonalnych dźwięcznym dystychem:

„Piegi znikną z lic twych, skoro natrzesz je „Gurahumora“.

Nowy krem, noszący nazwę szczytu karpackiego w okolicy Peczyniżyna, cieszył się rekordowym powodzeniem. No, bo jakaż szanująca się niewiasta nie marzy o tym, by pozbyć się mankamentu szpecącego jej śnieżną pieczę?

Aż pewnego dnia pękła bomba. Jakaś niewiedząca pacjentka oskarżyła pana Szolca o pospolite oszustwo. Podała do wiadomości Wysokiego Sądu fakt, że krem „Gurahumora” — mimo systematycznego stosowania go na przestrzeni dziesięciu miesięcy — nie dał pożądanego skutku, jest zatem bezwartościową miksturą.

Aptekarz, w pełni przeświadczony o swej niewinności, stanął przed trybunałem bez adwokata.

Zapytany, czy przyznaje się do winy, bez pośpiechu przetrął binokle, włożył je na nos, spojrzął na akt oskarżenia...

Potem odchrząknął i wyrzekł głosem, z którego przebijała nuta żalu i obrażonej ambicji:

— Panie prezesie! Oskarżycielka prywatna nie powołała ani jednego świadka na okoliczność, jakoby kreml „Gurahumora” komunikował zaskodził!

— Dobrze — przerwał mu sędzia — Ale pobierał pan

bądź co bądź dziesięć złotych za niewielki stołeczek, a nie ma również dowodu na to, że krem komunikował zaskodził.

— Jak to — nie pomógł? — wyrwało się z ust aptekarza. — A mnie?!...

Strzelec doskonały

Mieszkałem na peryferiach miasta, w kolonii kolejarzy. Wszystkich najbliższych sąsiadów darzyłem przyjaźnią i szacunkiem. Ale przedmiotem mojej szczególnej adoracji stał się z biegiem czasu pan Apolinary Grajczyk.

Meżczyzna krepki, o szpakowatych włosach, wyglądał jak najwykleszony zjadacz chleba. Nie zaryzykowałbym też twierdzenia, że kwalifikacje zawodowe dodawały mu specjalnego splendoru.

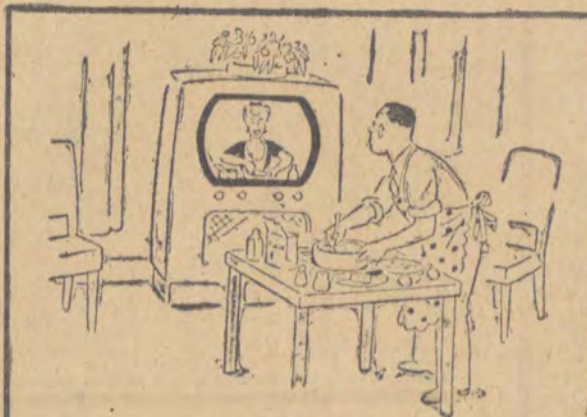
A jednak długo uważałem go za fenomen i określałem mianem: strzelec doskonały.

Bo jakże mogłem inaczej? W godzinach popołudniowych dolatywały moich uszu zmiennie trzaski. To sąsiad Apolinary strzelał z wiatrówką do celu i zawsze trafiał w sam środek tarczy. A tarczy strzelnicze stanowiły precyzyjne kółka, rysowane na deskach parkanu.

Pewnej niedzieli złożyłem mu wizytę. Stanąwszy na dziedzińcu spytałem pelen podziwu:

- Jak pan to robi?
- Co takiego?
- Ze trafia pan stale w sam środek kółka?
- Nie łatwiejszego — odparł dobroduszenie. — Najpierw strzelam, a potem zakreślam cyrklem regularne kółka.

Humor zagraniczny



ALAIN (1953)

trzymanie samochodu np. we wrześniu, gdy cała należność (i to nie mała, bo 95 tys. zł) wpłaciło się w... maju. Z drugiej jednak strony nie widzieliśmy możliwości powrotu do okresu owych sławnych „podań”, przydziałów, komiśi itd.

Najlepszym systemem sprzedaży jest wystarczająca podaż i handlowe zasady przy nabyciu towaru. Tak jak to ma miejsce obecnie przy sprzedaży „Moskwiczów” 407 w Łódzku „Motozbycie”. Klient wybiera samochód w magazynie, wpłaca pieniądze do banku, otrzymuje dokumenty i jedzie nowonabytym pojazdem do domu. Jeśli jednak ilości zamówionych na rok przyszły samochodów nie gwarantują takiego systemu sprzedaży, podajemy pod rozwagę inne rozwiązania, zaproponowane przez naszych Czytelników.

Pierwsza propozycja to, wzorem Czechosłowacji, przedpłata częściowa, np. 1/3 wgl. 1/4 wartości samochodu. Reszta — dopłacana w chwili otrzymania samochodu.

Dруга propozycja: przedpłata częściowa, ale nie na konto „Motozbytu” a do PKO na specjalnie otwartą w tym celu książeczkę. Jeśli można mieć taką książeczkę na mieszkanie, dlaczego nie można mieć na samochód? Oczywiście wkład na takiej książeczce byłby oprocentowany, klient miałby zagwarantowane otrzymanie samochodu w kolejności otwarcia książeczki, a o-

trzymując samochód z opóźnieniem na skutek nieterminowych dostaw, otrzymywałby za ten okres ustawowe odsetki.

Powtarzamy: warto się nad tym poważnie zastanowić dziś, gdy do nowego roku mamy jeszcze kilka tygodni.



„Światła regulujące ruch na ruchliwych i niebezpiecznych skrzyżowaniach są zamieniane od czasu do czasu na pewien czas na „pulsujące”. I tak ostatnio na skrzyżowaniu ulicy Kilińskiego z Nowotki i Tuwima, gdzie wyjątkowy brak widoczności utrudnia jazdę zarówno pojazdom mechanicznym, jak i tramwajom. Czy nie należy zaniechać eksperymentów i wrócić do „normalnych” światel zielono-żółto-czerwonych?...

...w sklepie „Motozbytu”, przy ul. Piotrkowskiej pasaż do wentylatora do „Piata” 600 (na które użytkownicy tych wozów czekali długie miesiące) sprzedaje się po 45 zł sztuka, skoro większe paski do „Sireny” także krajowej produkcji, tylko dużo staranniej wykonane, kosztują w tymże sklepie „6,40 zł”...



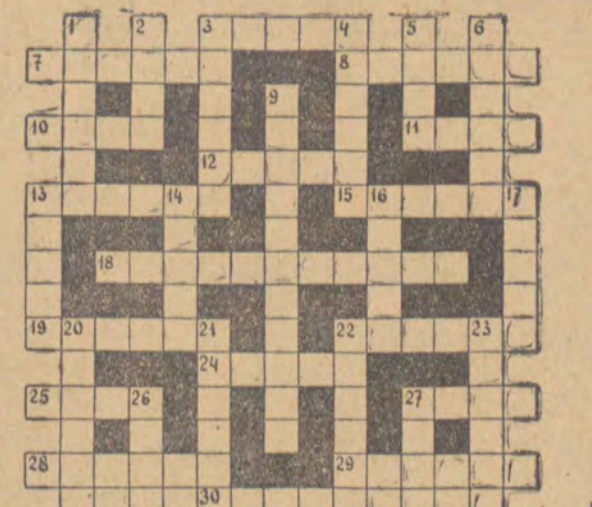
Duże brawa

dla Dzielnicowej Rady Narodowej Łódź - Staromiejska, która pięknie pomalowała przejścia dla pieszych na terenie całej Dzielnicy!

Warto się zastanowić

nad zmianą systemu sprzedaży samochodów osobowych z importu. Zdajemy sobie bowiem wszyscy sprawę, że obowiązuje w roku bieżącym w „Motozbycie” system przedpłaty w pełnej wysokości ceny wozu, nie powinien być dalej stosowany. Z jakiego bowiem tytułu klienci mają finansować państwowe przedsiębiorstwo, nie osiagając z tego żadnych korzyści? Trudno bowiem nazwać korzyścią o-

ROZRYWKI UMYSŁOWE



Znaczenie wyrazów: Poziomo — 3) Naszyjnik, 7) Emalia, 8) Tułów człowieka lub zwierzęcia, 10) Zbocze góry, 11) Mityczna opiekunka nauki lub sztuki, 12) Naczynie do płynów, 13) Kawalek chleba, 15) Drzewo liściaste 18)

Kwiat, 19) Kraj w Afryce, 22) Smukła antylopa, 24) Krzepkość, siła, 25) Helm strażacki, 27) Wyrób z wikliny, 28) Rodzaj straży, 29) Owoc, 30) Imię żeńskie.

Pionowo — 1) Odmiana ciemnego piwa, 2) Mechanizm zegarka, 3) Ptak domowy lub dziki, 4) Stan czynny środków własnych przedsiębiorstwa lub osoby prawnej, 5) 0,001 kg, 6) Potok, 9) Instrument muzyczny, 13) Barwny dywan o motywach ludowych, 14) Zatyczka do butelki, 16) Tkanina, 17) Centralne miejsce w cyрку, 20) Pisarz francuski, 21) Rzęście oklaski, 22) Piękno, wdzięk, wytworność, 23) Gąsienica, 26) Napój, 27) Wyspa lub imię meskie.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Rozwiązanie krzyżówki Poziomo — strzech, fabuła, Irena, krup, trop, kawa, epoda, mara, grzyby, boston, kret, raróg, firn, trze, aula, jeden, Ananke, antena.

Pionowo — sroka, aura, hiperboreje, melon, fatamorgana, brom, atlas, kwartet, parodia, skaza, broda, anoda, tren, flet.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali: 1. Irena Sadowska, Łódź, ul. Próchnicka 22 m. 17. 2. Maciej Piłarczyk, Łódź, ul. Bystrzycka 3/5, III D. S.

Redaguje Zespół: Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4.- zł kwartalnie 12.- zł. Redakcja nie zamawia rekopisów nie zwraca. Prenumerate otrzymują wszystkie placówki pocztowe. Istnieje także „Prasa” — z zastrzeżeniem na „Ogłosy” c. Druk RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17 Zam. 3416. XI. S-3.

Miasteczko

pod redakcją JANA HUSZCZY

Jak w Pipidówce...

Jakoś w lecie jeden z moich dobrych znajomych, red. Skibicki z „Dziennika Łódzkiego”, przypomniał nam, iż Łódź — proszę państwa — jest nie tylko drugim co do wielkości miastem w Polsce, ale i że leży właściwie w środku Europy!

Muszę się przyznać: iż mnie, obserwującego niektóre przejawy życia łódzkiego, red. Skibicki w jakimś sensie po prostu zaszkodził! Znając i obserwując te poniekąd przejawy naszego życia, stale muszę konfrontować stwierdzenie red. Skibickiego z mapą i podręczną encyklopedią. Nie ufając polskiej, sięgam niekiedy nawet po obcojęzyczne.

A jednak formalnie ma on rację! Merytorycznie zaś? O, nie zawsze, nie zawsze, jak mawia inny mój znajomy, pewien znany skąd inąd pisarz współczesny.

Na poparcie tych wątpliwości wystarczy czasem pozornie drobny, ale wymowny przykład...

Aleja Kościuszki przebiega przez śródmieście leżącego w środku Europy miasta. Przecina tę miłą aleję ulica Mickiewicza także w śródmieściu tego leżącego w środku Europy miasta.

Gdy przekładano przez aleję tory tramwajowe — zapomniano na śmierć o usunięciu w pobliżu nazwanego skrzyżowania rudery-magazynu, która znajduje się tuż w pobliżu torów, oddzielona od nich wąziutkim chodnikiem, czyniąc przejście obok przejściem szczególnie niebezpiecznym.

Prasa o to przejście w swoim czasie upominała się, Oczywiście, nie nie pomogło!

Nareszcie — po latach — pod koniec tego roku, bo we wrześniu, rozsądnie postanowiono przystąpić do rozbiórki tejże rudery, co znakomicie ułatwi ruch pojazdów i przechodniów na tym przecież coraz bardziej ożywającym się odcinku.

Niestety, rudera ma trzy piętra! W ciągu kilku tygodni rudera — otoczona od strony jezdni drewnianym zabezpieczeniem — rozbiera czasem dwóch, czasem trzech ludzi, bywa także, że i nikt na jej wyszczerbionych murach nie pojawia się.

Jak dotąd, zdjęto dach i zaledwie jedno piętro. Znając tedy ilość pięter, łatwo obliczyć, jak długo może potrwać rozbiórka całości. W tym roku na pewno nie

zostanie zakończona! I to w śródmieściu grodu, który leży w środku — jak nas zapewnia miły red. Skibicki — Europy, który — poza tym — jest drugim co do wielkości, o czym wszyscy na ogół wiemy, miastem w Polsce.

Przypominają się tutaj prace nad zainstalowaniem neonu przy „Motozbycie”, znajdującym się przy naszej magistrali czyli przy ul. Piotrkowskiej. Mijały miasteczko, zanim zainstalowano neonową reklamę (ponurą, zresztą!) i zanim usunęło metalowe rusztowanie, nie licząc się z wygodą przechodniów, ani nie licząc się także z uwagami prasy — m. in. „Głosu Robotniczego” — na ten temat.

Czasem naprawdę trudno utwierdzić w rzeczywistość, którą nie tak dawno przypominał nam red. Skibicki!

PS. A może jednak przerwac rozbiórke rudery i zostawic ja w charakterze zabytku? Przecież cudzoziemscy turyści podobno coraz częściej interesują się naszym miastem, nie odznaczającym się nadmierną ilością zabytków!!!

Powiasika o obywatelu Fajciolu

Tak się nieraz w życiu składa, że na kogoś wszystko spada...

Kto wystąpi z referatem, kto na kurs pojedzie latem? Kto gazetkę zredaguje, kto jakośsi dopilnuje?

„Wnet zebranie całe woła: „Niech, Fajciolu!... „Hej, Fajciolu!”

Wybory w sportowym kole, chcą się oprzeć na Fajciolu... Ten zaś poci się i wzdycha, lecz nie broni się, do licha!

Mysli sobie: „Nie wypada!... Więc na niego wszystko spada!

On jest w radzie, on w aktywie... na odcinku i na niewie...

Wszystko spada na Fajciolu, życie jego niewesołe.

Obarezony nazbyt hojnie, inni za to śpią spokojnie!

Fajciola to człowiek miły, lecz go wpędzą do mogiły!

W nas los jego litość budzi: czyż to więcej nie ma ludzi? A co będzie, gdy Fajciola nagle: „Dosyć już!” zawoła?!

Co palą monarchowie?

Cesarz niemiecki pali mocne hawańskie cygara, w cenie 3.600 marek za tysiąc, król szwedzki Oskar, pali fajkę, woli zwyciężajny „caporal” niż drogie tureckie tytonie, sultan Abdul Hamid, namiętny palacz, lubi duże papierosy z mocnego tytoniu, zwane „armatami”, Leopold, król belgijski, jest amatorem mocnych cygar, ale pali u miarkowanie, tylko po obiedzie lub wieczorem. Książę Walii wypala na dzień 20—25 cygar i 5—6 fajek, królowa hiszpańska nie rozstaje się ze swoją małą papierosnicą. Pali pyszne „pachitoski” z najlepszego wschodniego tytoniu, królowe Portugali i Holandii są także wielkimi zwolenniczkami palenia.

(„WEDROWIEC”, 1894)

TELE MELE DUDKI...



„Oczywiście, zdolność dziecka mogą rozwijać się i bez tego, lecz nadaje, że dzięki bodźcom, których dostarcza telewizja, rozwijała się szybciej”. (Z listu pani Olive Peck, matki czwórki dzieci, FILM AND T. V. TECHNICIAN, czerwiec 1959).

O telewizji

przeczytaliśmy

„Widzenie pisnia regularnie, wciąż skarcąc się na nudę programów, na zbyt powolny i brak wyobraźni w wyborze przedstawianych tematów; narzekają, że ci, którzy pracują w tej dziedzinie, zdają się nie interesować, że wymiana specjalistów materiału pisarskiego jest dla nich”. (FILM AND T. V. TECHNICIAN, wrzesień 1957).

„Kiedy spektakl telewizyjny jest błędnym przeliczeniem, która błąd polega na wyłączeniu aktorów, dekoratorów, scenarzy, kamery i dźwięku”. (FILM AND T. V. TECHNICIAN, maj 1958).

„Oczywiście, zdolność dziecka mogą rozwijać się i bez tego, lecz nadaje, że dzięki bodźcom, których dostarcza telewizja, rozwijała się szybciej”. (Z listu pani Olive Peck, matki czwórki dzieci, FILM AND T. V. TECHNICIAN, czerwiec 1959).

TE RADY

techniczne



Jednym z najważniejszych ogniw pośredniczących w odbiorze programu telewizyjnego jest antena, a właściwie cała instalacja antenowa. Jakże często ona właśnie jest źródłem wszelkich zakłóceń, iskrzeń, odbić (tzw. „duchów”), szumów, a gromy sypią się na telewizor, stając się przyczyną lub skutkiem nadawczą lub elektryczną. Zasadniczą sprawą jest przede wszystkim właściwy dobór anteny. I tak antenie domową stosować należy tylko w bezpośrednim opływanym kontakcie ze stacją TV, w odległości najwyżej do 4 km i to tylko w warunkach braku zakłóceń przemysłowych, samochodowych itp., (albo mało ruchliwej, nielaskawia wysoko położonej).

W przeciwnym razie należy stosować bezwzględnie anteny zewnętrzne, i to montowane na najwyższej wysokości, pozwalającej na maksymalne wyeliminowanie rozchodzących się fal przyziemnych, które mogą kierować typem anteny zewnętrznej jest tzw. dipol zamknięty lub otwarty stosowany w zależności od oporności ci wejściowej odbiornika 240 omów (kabel symetryczny) lub 70 omów (kabel koncentryczny).

Te najprostsze anteny zewnętrzne należy stosować również w niewielkiej odległości od stacji do około 10 km, na przesłonięciu otwartym, bez wysokich budynków, pobliz, które mogą kierować na antenę odbite wiązki sygnału stacji TV. O antenach do odbioru w warunkach skomplikowanych warunkach lub do odbioru dalekiego, pomysłowy za tydzień.

INZYNIER



— Ahn. Pamietam transmisję

z y ekran urzeka pejszemu; człowiek jest tylko zdołniony temu, jak pejszemu, jak dom, jak kamień...

A wie inwazja przetrwa, ni, eiterany, cietrany, ki- no coiaz bardziej podobne do cyrku. Zastanawiające przy tym, że tymi właśnie wynalazkami, popchniętymi przed siebie, chwyci wal- ca, z popchnięciem telewi- zji. Nie wytrzymaj, się, wal- cę, ta sama, dromia, co przedkimi...

Zatem — inwazja prze- strzeni, wielki ekran prze- cież malettem ekranowi- wi, telewizora. Tu właśnie rozchodzi się drogi telewi- zji i filmu!

Paradoks 1959 r. Kwi w tym, że młodzieńca XI Mi- nistrowi, które prawie pół wieku temu wynalazł wiel- ki narrator filmu, David Wark Griffith. Te same, których nowożytny film, nęgający inwazji przetrze- ni — pomiechał.

DOKAD IDZIESZ MUZO?

Na naszej telewizyjnej stronie była już kilkakrotnie mowa o podobieństwach między telewizją i filmem. Cyfrowalnym René Claira, który przez postawił dra- stycznie: na ekranie telewi- zora po dziś dzień nie ma nie takiego, czego nie mo- giliśmy zobaczyć na ekra- nie kina. Stodki wyrazowe filmu staraliśmy się przed- stawiać na przykładowe znan, które triumfalny go- ciód kina spowodował do Hieratrze, w teatrze, w naszym własnych myślach... Coraz bardziej konkretnych,

KONSEKWENCJE

Telewizja wizualna, jak film musi ponosić konsekwencje swojej wizualności. Zestawiając — łącząc — obrazy musi rządzić się prawami podobnymi do tych, którymi rządzi się film. Nie może po zblizeniu nosa pokazać kolumny Indzi

(kzw. plan ogólny), bo ze- stawianie nosa z tłumem Indzi — szkole. Chyba... że reżyser akuraci pragnie zasłonić widza.

A następna konsekwen- cja... Weźmy naszą butel- kę i ulóżmy z niej t e s t. Uwaga! Teraz Państwo czy- tać!

Człowiek służy butelce i nie panuje nad sobą, w rozprawy katechizy sobie re- ce odłamkami szkła. Z po- szarpanych jak krew spły- wała na pokłęk i tam zdą- żył sięgnąć Isnta, ak martw- kawałki szkła.

Nieprzyjemne prawda? A teraz spróbujcie wyobrazić sobie, że widzicie w ekranie nieścisły, żaden z ich wy- redaktorzy — zgodzi się pozować do naszego natura- listycznego filmu! Teraz już nie jest nam nieprzy- jemnie, teraz jesteśmy wstrząśnięci. Obraz na ekra- nie ma silę większą, niż słowo pisane. Dlatego, jes- li nie ma nas powalając — trzeba tę jego siłę brać w

JOLANTA MACH

coraz bardziej obrazowych... Fenewaz jednak stronnicza nie jest z gumy — wypa- dła z poprzedniego felietonu słynna butelka Dos Passa- sa (z powieści „Manhattan Transfer”), której opis pozostawił pisarzowi nie wspominać już o dymie i tloku w barze, nie nazywać człowieka wchodzącego do baru piłakiem; ona jedna starczyła dla stworzenia atmosfery i identyfikacji miejsca. Opis jej pełnił funkcję, taką jak w filmie ma powiększenie przedmiotu na cały ekran (z w. zblizenie, albo nawet — detail).

Telewizja wizualna, jak film musi ponosić konsekwencje swojej wizualności. Zestawiając — łącząc — obrazy musi rządzić się prawami podobnymi do tych, którymi rządzi się film. Nie może po zblizeniu nosa pokazać kolumny Indzi

z y ekran urzeka pejszemu; człowiek jest tylko zdołniony temu, jak pejszemu, jak dom, jak kamień...

A wie inwazja przetrwa, ni, eiterany, cietrany, ki- no coiaz bardziej podobne do cyrku. Zastanawiające przy tym, że tymi właśnie wynalazkami, popchniętymi przed siebie, chwyci wal- ca, z popchnięciem telewi- zji. Nie wytrzymaj, się, wal- cę, ta sama, dromia, co przedkimi...

Zatem — inwazja prze- strzeni, wielki ekran prze- cież malettem ekranowi- wi, telewizora. Tu właśnie rozchodzi się drogi telewi- zji i filmu!

Paradoks 1959 r. Kwi w tym, że młodzieńca XI Mi- nistrowi, które prawie pół wieku temu wynalazł wiel- ki narrator filmu, David Wark Griffith. Te same, których nowożytny film, nęgający inwazji przetrze- ni — pomiechał.

Powżej, w rubryce „O telewizji przeczytaliśmy” małe Państwo czyta: „Każdy spektakl telewizyjny jest obiektem adaptacji, bez której pogarsza się jakość odbioru. Należy zaznaczyć, że obecnie znajdują się w sprzedaży odbiorniki uniwersalne pod tym względem m. in. odbiornik produkcji NRD „Favorit”.

Te najprostsze anteny zewnętrzne należy stosować również w niewielkiej odległości od stacji do około 10 km, na przesłonięciu otwartym, bez wysokich budynków, pobliz, które mogą kierować na antenę odbite wiązki sygnału stacji TV. O antenach do odbioru w warunkach skomplikowanych warunkach lub do odbioru dalekiego, pomysłowy za tydzień.

INZYNIER

z y ekran urzeka pejszemu; człowiek jest tylko zdołniony temu, jak pejszemu, jak dom, jak kamień...

PROGRAM TYGODNIA



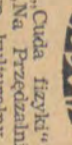
Czwartek 12. XI.

17.10 Progr. dla dzieci starszych „Pelek” i „Dookoła estrady” w tv. tektow Wilkora Wroczyńskiego i Jerzego Litwaniaka (W). 18.10 Lodzka Kronika Filmowa (L). 18.25 „Pojeźdźcy na 10w” rep. tektow (W). 18.55 Głosie młde widzian” (W). 19.30 Dzień- zek telewizyjny (W). 19.50 Rezerwa (W). Reklama (Rozmowa o księżkach) (W). 20.10 „Fryderyk” film fab. prod. Franc. (W). 21.50 Ostatnie wiadomości (W).



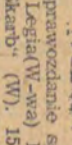
Piątek 13. XI.

17.40 Rozmowa z problem Apenkietem o „Tow. Pracyści” Lo- dzki” (L). 17.55 Wzruszające dni tygodnia (L). 18.25 „Jak to się stało” (W). 19.00 Dziennik telewizyjny (W). 19.15 „Biederman i podpalacz” w tv. Maxa Frussa (W). 21.30 Ostatnie wiadomości (W).



Sobota 14. XI.

17.00 „Cuda fizyki” rep. dla młodzieży (W). 17.45 Przerwa, 18.45 „Na Przódzianach” — widow. publ. (L). 18.00 „Pegaz” magazyn kulturalny (L). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 19.50 Rezerwa, 20.00 Tele-Photo-Wyściska (W). 20.10 Program tygodnia (L). 20.20 Film fab. prod. Franc. „Barnabe” (L). 21.50 Ostatnie wiadomości (W). 22.00 Program rozryw. z cyklu: „Spokojnie miast” — Kraków — Katowice” (K). Metoda na dobranoc.



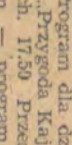
Niedziela 15. XI.

11.55 Sporożądanie sport z meczu piłki nożnej o mistrzostwo I Ligii Lesia(W-wa) Pogon (Szczecin) (W). 14.00 Film fab. prod. Pol. Skarzo (W). 15.40 Przerwa, 16.45 Program dla dzieci: (W) 1) „Dwój datz mały Zuzi” 2) „Petroz po strzebie” 3) „Dzie- niarstwo” 17.35 P.K.F. (W). 17.50 Estrada Heracka „Singo” Kon- stantego Paustowskiego w tv. Stefana Flukowskiego (W). 18.20 Przerwa, 19.00 Dziennik telewizyjny (W) i „Niedzielny maga- zyn Aktywność. 19.45 Teleturcja: „Kto to powiedział” (W). 20.45 Film fab. prod. włoskiej „Syn w szafadzie” (L) od lat 14.



Poniedziałek 16. XI.

18.00 — „Europa” mag. pop. nauk 18.25 Kosmologia, 18.55 Na warszawskim Powalim — rep. tektow 19.30 Dziennik telewizyjny, 20.00 Urtek Polityczny (program TV-Poznan ze Studia w Lo- dzki), 20.40 Teatr Telewizji „Fedor” Stanisława Dygasa red. Stanisław Wahl. Główny: Gustaw Holubek, Kalina Jędrusk i inni. 22.00 Ostatnie wiadomości.



Środa 18. XI.

17.00 Program dla dzieci starszych: 1) Teatrzyk dla przedszo- kolaków „Przygoda Kajuska” baśka Anny Chodorowskiej; 2) Sport młodych. 17.50 Przerwa, 18.45 Wątek i osnowa, 19.00 Grecja i Rzym — program z cyklu „Jak patrzeć na dzieło sztuki”. 19.30 Dziennik telewizyjny, 20.00 Problemy XX wieku, 20.30 Te- leturcja — 20 pytan, 21.30 Ostatnie wiadomości.



zakrzęta się do nas koniecznie na niedzielę, 15 kiesz- pęd. Borem o godz. 17.50 pokazuje „SNIEG” Konstantego Flukowskiego w film. Stefana Flukowskiego, adapta- cki i reżyserii Olegi Szanawskiej i Lucyny Tychowej, Trojma.

Paradoks 1959 r. Kwi w tym, że młodzieńca XI Mi- nistrowi, które prawie pół wieku temu wynalazł wiel- ki narrator filmu, David Wark Griffith. Te same, których nowożytny film, nęgający inwazji przetrze- ni — pomiechał.

Powżej, w rubryce „O telewizji przeczytaliśmy” małe Państwo czyta: „Każdy spektakl telewizyjny jest obiektem adaptacji, bez której pogarsza się jakość odbioru. Należy zaznaczyć, że obecnie znajdują się w sprzedaży odbiorniki uniwersalne pod tym względem m. in. odbiornik produkcji NRD „Favorit”.

Te najprostsze anteny zewnętrzne należy stosować również w niewielkiej odległości od stacji do około 10 km, na przesłonięciu otwartym, bez wysokich budynków, pobliz, które mogą kierować na antenę odbite wiązki sygnału stacji TV. O antenach do odbioru w warunkach skomplikowanych warunkach lub do odbioru dalekiego, pomysłowy za tydzień.

INZYNIER